

Brzezina

Już w samym sposobie, jakim Staś wysiadał z bryczki przed gankiem, było coś, co rozdrażniło Bolesława. Wyleciał, raczej wyfrunął z żółtego ekwipażu. Przede wszystkim Bolesław zauważył szafirowy kolor skarpetek. Spod przykrótkich i luźnych spodni kolor ten wydobywał się dobitnym akcentem. Oblegał on niezmiernie chude kostki nóg Stasia. Choć wciąż poza tym Staś wyglądał zupełnie dobrze. Od owego szafirowego koloru Bolesław podniósł wzrok ku niebieskim oczom brata. Były niezmiernie wesołe. Stach uśmiechał się nimi, naokoło ust w uśmiechu tworzyło się wiele zmarszczek, które zbiegały się w jeden punkt. Ucałowali się, a pierwszą życzliwą myślą Bolesława było: „Chwała Bogu, zupełnie zdrów”.

Nie widzieli się bardzo dawno. Staś dwa lata siedział w swoim sanatorium, ale jeszcze przedtem nie widzieli się lat parę. Bolesław od dawna zakopał się w tej leśniczówce, a Staś nie zaglądał tutaj. Być może, że nie poznałby go teraz.

-- Jak się masz? - zapytał po chwili milczącego ściskania się Bolesław.

- Doskonale!
- Dobrze, żeś sobie o mnie przypomniał.
- Cóż miałem robić? Doktorzy chcieli koniecznie, żeby jechać do lasu. No, więc gdzież, jak nie tu?

Mówił to wszystko, przerywając co chwila krzaniem się. Zbiegł cztery schodki do bryczki, wyciągnął z niej dość lekki kuferek, postawił go na werandzie, zrzucił elegancki gumowy płaszcz, rękawiczki, wreszcie podróżną czapkę, dokładnie taką samą, jaką Bolesław widywał na reklamowych rysunkach ilustrowanych pism. Zaraz siedli do śniadania, nakrytego na ganku.

- Szalenie jestem zmęczony - ciągnął Stanisław. - Dwa dni i dwie noce.

Mała Ola przysłała z głębi domu. Miała niebieskie, nieco wystraszone oczy.

Dźwigała w ręku lalkę, dość oskubaną. W milczeniu dygnęła przed stryjaszkiem.

- Boże! Jakaż ogromna! - zawołał Stanisław. Bolesław nic nie mówił. - Ale lalkę ma straszną! Widziałem takie śliczne lalki za granicą. Zapomniałem jej przywieźć. To do-prawdy nieczuły ze mnie stryjcio!

Ola zeszła z ganku i szła sobie spokojnie w las. Las za-czynął się bezpośrednio za drogą, która przedzielała go od leśniczówki. Dzień był brzydki, bo kapało ciągle.

Bór po-zbawiony był w tej stronie poszycia i Staś, opowiadając z oży-wieniem o swojej podróży, widział, jak bledziutka sukienka Oli migąła pomiędzy pniami.

Zatrzymał się na chwilę.

- Tak ją puszczasz samopas? - zagadnął starszego brata. Ten wzruszył ramionami

- Więc mówię ci, że jak tylko zjechałem w doliny... - ciągnął Stanisław - uczułem szalone zmęczenie. A cóż do-piero w tej naszej Polsce. Myślałem, że ta droga tutaj nigdy się nie skończy, lasy i lasy, nie wiadomo, skąd tego tyle tutaj.

- Tak, tylko że nie bardzo ładne. Bór.

- To nic nie szkodzi. Bardzo lubię sosnowy las. Doktorzy mi ciągle nim głowę zawracali, do sosnowego lasu, koniecznie do sosnowego lasu.

- Tu za domem jest bardzo ładna brzezina! - Bolesław wskazał ręką, nie oglądając się w tamtą stronę.

Dzień był pochmurny i z lasu dolatywał lekki szelest ocierających się o siebie igieł.

- Wiesz, przez dwie godziny słuchać tego szelestu igieł i tego piasku pod kołami to strasznie jednostajne 1 - ciągnął wciąż Stanisław, nie tracąc dobrego humoru. - Męczy mnie trochę monotonia tutejszej okolicy. Jak się czujesz?

Bolesław ruszył znowu ramionami. Ustami wydał dźwięk nieokreślony.

- Ale do tej małej to powinieneś wziąć jakąś opiekunkę.

- Myślałem...

- Samo „myślałem” nie wystarcza...

Stach szeroko odsunął krzesło i wziął za ucho walizkę.

- Gdzie mam mieszkać?

- Z sieni na lewo.

Bolesław posunął się nieco z krzesłem, tak że patrzył na drogę. Niebo pomiędzy dachem ganku a lasem pociemniało gwałtownie i deszcz się zagęścił. Słyszał, jak Stach gospodaruje w swoim pokoju. Otwarte okno mieściło się tuż obok werandy. Skubał ciemną brodę. Słyszał, jak brat rozgrzebywał się. Wyjmował rzeczy z kuferka, mył się po podróży. Wszystko to nucił. Nie przestawał nucić ani na chwilę modnych piosenek europejskich, wiatr zawiął inny od tych melodyj. Bolesław zmarszczył brwi i zagryzł brodę pakując ją sobie do ust ręką. Stach otworzył drzwi od swego pokoju do następnego. Bolesław słyszał, jak w miękkich pantoflach poczłapał dalej, jak otworzył drzwi do sionki, pewnie zajrzał do kuchni. Wracał potem drugą stroną leśniczówki przez pokój Oh i jego. Cztery pokoje, całe gospodarstwo.

- Obejrzałem cały dom - powiedział Stach stając w progu. - Zapomniałem, że nie masz fortepianu. Zdawało mi się, że masz, i szukałem go wszędzie. Tu strasznie będzie nudno bez fortepianu. Czy w Sławsku nie można wynająć? Bolesław nic nie odpowiedział.

- My się tu z Olą zanudzimy na śmierć.

Nawet to ostatnie słowo nie obudziło Bolesława z odrętwienia. Myślał tylko: „Boże, Boże, po co on tutaj przyjechał?”

Tymczasem Stach nalał do szklanki gorącej wody z czajnika, który stał na stole. Poszedł się golić. Po chwili wynurzył się i okna z twarzą całą w mydlinach:

- Czy ty konno nie jeździsz?

- Ja nie, ale mam siodło.

- A koń?

- Ten prawy - mruknął Bolesław.

- Chodzi?
- Hm, Janek mówi, że bardzo dobry.
- To doskonale. Będę jeździł konno - Stanisław cofnął się.

Po chwili znowu doleciało do Bolesława pytanie:

- A do Sławska to jak daleko?
- Przecie stamtąd jedziesz.
- Ale na mile?
- Ze dwie, dwie i pół może...
- Czy fortepian dałoby się przywieźć?
- Sam widziałeś, jaka droga...
- No rzeczywiście, ale jak wy schnie?
- To będzie piach.
- Ale dałbyś mi ewentualnie konie?
- A dajże mi już spokój z tym fortepianem!

Bolesław zniecierpliwił się. Wstał i poszedł do kuchni. Staś nie przestał nucić, goląc się. Patrzył, jak przez drogę przekradała się zmoknięta Ola. Nie przyśpieszyła jednak kroku. Z wolna przechodziła przez koleiny, kryjąc lalkę pod chusteczką. Stanisławowi na ten widok serce się ścisnęło.

- Oho! - powiedział sam do siebie - będzie tu ciężko. Stara służąca, Katarzyna, sprzątała po śniadaniu na we-randzie. Ola usiadła w kąciku na małym stołeczku i coś gadała do lalki.

Stach przypatrywał się drobiazgom, które mu przypomi- nały pobyt za granicą. Rozstawił je na maleńkiej, zgrzybia- łej i brzydkiej toalecie, która stała w rogu. Oglądał fotogra- fie: on, miss Simons i Duparc na śniegu w Davos. Uśmiech- nięte twarze. Inny zapach tamtych przedmiotów. Otaczała go woń sosnowych zwyczajnych mebli i podłóg świeżo wy- mytych. Gdy wyszedł na ganek, wyjaśniło się.

- Olu, chodź na spacer. Pokażesz, gdzie brzezina.

Ola wstała bez słowa i wzięła go za rękę. Poczł rączkę chudziutką i zimną. Pomału zeszli ze schodów. Z dachu kapaly ciężkie krople.

- Jak deszcz pada od rana, to potem pogoda - powiełdziała poważnie malutka.

Obeszli dom dookoła. I rzeczywiście z tamtej strony była prześliczna brzezina. Pnie ciągnęły się ku górze jak śnieżyłste filary, chrupkie, zdawało się, że z cukru czy ze śniegu. Strugi wątych liści spadały z góry, ale widać było tylko perspektywę białych filarów.

- Ładnie tu - powiedział Stach bez ułmiechu.

Ola nic nie odpowiedziała. Szli po wilgotnej trawie, połtem wydeptaną łcieżką. Białe pnie gęstwiły się w mgliste perspektywy, między drzewami wilgoć poczęła parować. Miało być słoneczne popołudnie.

- To tylko taki majowy deszczyk - Ola ciągnęła po- malutku wątek swych myłli.

Stanęli przed mogiłką usypaną z żółtego piachu, poczerłniałego juź, ale nie pokrytego trawą. Mogiła ogrodzona była białym brzozowym płotkiem, bardzo zwyczajnej struktury; po prostu powtykano na krzyź patyki. Ogromny krzyź brzozowy stał nad mogiłą, biały jak pnie otaczających drzew. Stach zdziwił się:

- Co to jest?

- To mogiła - odpowiedziała Ola.

- Czyja?

- Jak to czyja? Mamusi.

- To mamusia tutaj pochowana? Dlaczego nie na cmenłtarzu?

- Taki świat - odpowiedziała Ola - a tutaj bliziotko.

- Pewnie, że bliziotko, ale czyź nie można było na cmenłtarzu ?

- Roztopy były straszne. Ksiądz wikary konno przyjechał.

- To było na wiosnę?

- Konno, spowiadał mamusię i juź tutaj został. Dwa dni siedział, nie mógł się

ruszyć, woda wszędzie wylała.

- Poświęcił tę ziemię?

- Poświęcił. Mówił, że nie można w nie poświęcanej ziemi. Namawiał, żeby wieźć do Sławska.

- A tatuś co?

- Tatuś nie chciał. Powiedział: można w brzezynie. Tu ładne miejsce.

- Ładne!

- Bardzo ładne, ale ja tu nie lubię chodzić.

- Nie lubisz?

- Nie lubię. Chodzę tylko z tatusiem. Tatuś się modli.

- Tatuś...

- Tatuś codziennie chodzi z rana albo pod wieczór, a w niedzielę to się tu modli ze mną. Czyta z tej książki, co mamusia miała.

- A ty pamiętasz mamusię?

- Pewnie, to ledwie rok minął.

- Prawda. Już rok. A ja się dowiedziałem dopiero na jesieni. Twój tatuś rzadko pisuje.

- Tatuś nie lubi listów.

- Ja pisałem częściej.

- Ale tatuś nie lubi listów stryjcia.

- Czytał ci co kiedy?

- Nie... kiedyś czytał, jak stryjcio saneczkami jeździł. Ja też mam saneczki, ale tutaj nie ma żadnej góry. A w Szwajcarii duże góry?

- Ogromne. Pokażę ci fotografie.

- To chodźmy już do domu. Stryjcio pokaże fotografie. Zaczął pokazywać jej fotografie, ale dziewczynka wkrótce

się znudziła. Zresztą nie bardzo rozumiała, co to znaczy „hotel”, „sanatorium”, „Szwajcaria”. Staś siedział na centralnej kanapce, która stała w jego pokoju, i

fotografie zsunęły mu się z kolan. Spoglądał bezmyślnie w okno, gdzie spoza pni sosnowych poczęły przebijać promienie. Igliwie między sosnami kurzyło się mocno; przestrzenie pomiędzy pniami napełnione były mgłą i wyziewami.

Zresztą nie

obserwował zjawisk przyrody, nawet nie myślał o tym, co się w nim dzieje. Trwał w spokoju, chciał nawet bezmyślności. Po chwili powtórzył:

- O, ciężko tu będzie.

Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z atmosfery, ale już wiedział, że nie będzie dobrze. Przerazał go stan brata i na próżno starał się sobie to wyobrazić, ale ponieważ nie przeżył żadnej straty naprawdę, nie przychodziło mu to z łatwością. Przy śmierci matki był nawet obecny, ale sam fakt wydawał mu się nierzeczywisty. Potem nie mógł tego zrozumieć ani odczuć, tak jakby matka była zawsze w drugim pokoju. A jeszcze potem przyzwyczał się, że nigdy nie wchodziła do tego, w którym on był. A tymczasem tutaj ta piaskowa mogiła w brzezynie była czymś nie do odrzucenia. Wciąż ją miał przed oczami i siatkę białych pni, które w oddali zacierały się i tworzyły biały rozpylony kolor, jakby namalowany muśnięciami pędzla.

Tymczasem Bolesław siedział po drugiej stronie sieni, na łóżku, i patrzył na ten sam mniej więcej pejzaż sosnowy, na dym między pniami i na pierwsze blaski, ozywające na mokrych liściach poszycia, które dopiero owe promienie słoneczne odkrywały w wysuszonej koronce boru. Tylko że myśli Bolesława jeszcze mniej były sprecyzowane niż myśli młodszego człowieka. Z mgły, jaka go otaczała od śmierci zony, nie wywoływało go żadne zjawisko, wszystko widział przez siatkę. Bardzo to przeszkadzało oczom, ale nic więcej. Na mogiłę zachodził, to prawda, w niedzielę tam z Olą odprawiał pacierze, które tym gorzej drażniły go, że był niewierzącym. Mogiła, ciało - nie istniały dla niego, czuł naprawdę śmierć owej brzydkiej, choć miłej kobiety, która była jego żoną przez lat kilka. Czuł, że jej nie ma. Pamiętał, że umarła. Pamiętał, że umierała, jak umierała. Było to

wszystko jedynie rzeczywiste, wszystko inne nie. I dlatego skarpetki brata były czymś tak okropnym, a ich kolor miał męczyć Bolesława w nielicznych ^ snach jego. Świat, od którego oddzielił się chłopak, aby zamącić mgłę pomiędzy pniami sosen, był czymś przerażającym. Przybycie Stanisława było przybyciem Marsjani-na. A jednocześnie wywoływało nieodparte poczucie rzeczywistości, którego Bolesław był pozbawiony w ciągu ostatniego roku.

Myślał o tym (po raz pierwszy), że to już rok, że Basia musiała się w trumnie straszliwie zmienić; że nigdy nikogo już nie będzie kochać, że Ola pewnie jest strasznie zanie-dbana, bo on wcale o tym nie myślał, że trzeba sprokurować I jakąś nauczycielkę, jednym słowem, że jakoś należy iść. Do- . I kąd i po co, na razie nie myślał, no, ale że trzeba iść. To już było bardzo wielką odmianą.

Zawdzięczał ją temu nieznośnemu przyjazdowi Stasia.

Wtem na schodkach, potem na werandzie rozległy się mocne kroki silnych i bosych nóg. Dziewczyna gorąca od biegu zakryła nagle sosny przed Stasiem swym cieniem.

- Gdzie pan?

Nie zdążył odpowiedzieć. Głos Bolesława odpowiedział z okna, położonego po przeciwnej stronie drzwi werandowych.

Okazało się, że strażnik Janek, brat dziewczyny, który mieszkał na podwórzu, wybił ręką szybę w drzwiach wejściowych; głęboko rozciął dłoń, trzeba było przewiązać mu ranę, wyjodynawwszy należycie. Zajęli się tym obaj bracia, przy tej okazji Stanisław poznał podwórze i jego mieszkańców.

Nie było ich wielu, strzelec z siostrą i matką oraz kilkuna-stoletnich dwóch wyrostków do pasania krów i koni, Edek i Olek. To wszystko. Podwórko było małe, czyste, ale smutne. Konie i krowy mieściły się w czerwonym budynku na parterze, na piętrze było mieszkanie, w którym odbywała się operacja. Dwa pokoje Strzelca i pokoik chłopaków. Okienka były małe i światła było w nich niewiele. Sosny zaczynały się zaraz za ścianami tego domu, który do poło-

wy był stajnią. Osobno jeszcze stały: szopa, wozownia, kurnik, chlewik.

Stanisław wracał do domu jeszcze smutniejszy, jeszcze bardziej zniechęcony. A przy tym nie opuszczało go zmęczenie po długiej drodze, potniał co chwila.

Powietrze po deszczu było jednak parne i pogoda, która się ostatecznie ustaliła po południu, nie zapowiadała się na długo. Położył się na ceratowej kanapce i cierpliwie czekał na obiad. Bolesław chodził bez przerwy po pokoju, choć ciasno tam było pomiędzy jego łóżkiem a łóżkiem Oh. Dziewczynka wraz z lalką siedziała w tym samym pokoju, w kąciku za łóżkiem. Bolesław w chwili pustki w głowie słyszał, jak uczy lalkę pacierza.

n

Inne dni po przyjeździe Stasia były zupełnie podobne, z tą może różnicą, że Bolesław mniej przesiadywał w domu. Nie tylko musiał jeździć po lesie, doglądać to tej, to owej roboty, być na porębie i na tartaku, które leżały dość daleko od siebie, ale także jeździć nawet do miasteczka. Nie był tam od roku, droga teraz była trochę lepsza, przypomniał sobie mnóstwo nie załatwionych od tak dawna spraw, pojechał. Wolał unikać sam na sam z bratem. Jego stroje, sposób mówienia i bycia rozdzierały mu zabliźnioną prawie ranę. Nie mógł znieść tej zamyślanej radości życia, jaka była wszędzie w Stasiu: w ruchu, słowie, uśmiechu. Nie przyznawał się Bolesław, ale we własnym bracie widział tyle czaru, tyle ujmującego wdzięku, którego nie mógł za nic w świecie przyjąć do wiadomości. Nic rozumiał, w jakim znaczeniu, ale ten czar, ten wdzięk odrywały go od Basi. Wolał więc siedzieć na tartaku i słuchać, jak się kłócili Żydzi. Spóźniał się na obiad, ale Staś czekał cierpliwie, miał zwyczaj chodzenia na bardzo dalekie spacerzy z Olą i bardzo to go męczyło. Bolesław często zastawał go na ceratowej kanapce, wieczorem kładł się wcześniej do łóżka i nie chciał wychodzić po zachodzie słońca.

- Został mi jeszcze taki zwyczaj z sanatorium - powie-dział do brata.

Był bardzo miły, ale wciąż bardzo nietaktowny, śmiał się, żartował, śpiewał i gwizdał. Ola poweselała trochę przy stryjaszku i nauczyła się dwu piosenek niemieckich, jakie jej śpiewał Staś. Dotychczas nigdy prawie nie śpiewała, a teraz nuciła wieczorami lalkom, ułożonym w kołyskach z kory brzozonej. To jeszcze bardziej męczyło i drażniło Bolesława.

Znowu padało i znowu się wypogodziło i właśnie nade-szły księżycowe noce. Ola bardzo późno kładła się spać, tego wieczoru siedziała u stryja na kanapce i patrzyła, jak pomiędzy sosnami przedziera się czerwone światło wscho-dzącego satelity. Zamilkła ze zdziwienia, bo Staś opowiadał jej, jak wschodzi księżyc w jasnym powietrzu gór, o tym, jak widział zaćmienie pełni, wyłaniające się zza czerwonego grzbietu naprzeciwko ich sanatorium. Mroźno wtedy mia-ło być i powietrze lekkie od czystości z sykiem dostawało się do gardła. Mała była przerażona. Ale księżyc z czerwono-ego stał się biały i między sosnami powstawały bardzo jasne plamy.

Potem poszli na spacer pomiędzy brzozy. Chodzili tam i z powrotem i Stasiowi wydawało się wszystko nierzeczy-wiste. Trzeba było dużej siły woli, aby wciąż jeszcze śmiać się i żartować, trzymając małą bratanicę za rękę. Gdy zbli-żyli się w stronę mogiłki, Ola stanęła i nie chciała iść dalej, ale powiedział do niej łagodnie, że nie powinna się bać, że tam nie ma nic straszego. On by także chciał leżeć - je-żeli już przyjdzie pora - w tym piasku pośród tych marmu-rowych pni. Zbliżyli się do ogrodzenia, ale zobaczyli Bo-lesława. Stał ty lko, ale w jego opuszczonej głowie i złama-nej postaci tyle było wymowy, że Staś się cofnął.

- Tam stoi tatuś - powiedziała Ola.

I wrócili już w milczeniu do swojego domu. Ola poszła spać, stara kucharka, Katarzyna, ułożyła ją do łóżeczka, a Stanisław znowu począł patrzeć na pnie sosnowe, niebie-skie od księżycowego światła.

Bolesław wszedł nagle do jego pokoju. Widział ich, jak odchodzili od niego i od

mogły, i nie mógł się powstrzymać od jakichś gorzkich słów, ale Stanisław nic z tego nie rozumiał. Potem poszli do jadalni i pili jeszcze herbatę w milczeniu, nareszcie Bolesław zaczął opowiadać o wszystkim od początku. Widać było, że robi mu to wielką ulgę, to gadanie, że nie tylko zrzuca ciężar z siebie, ale jednocześnie przełamuje te lody, które oddzielały go od brata. A więc od początku: jaka Basia była, cicha, dobra, zwyczajna, ale niezwykle miła; jak w ogóle była słabowitego zdrowia od samego urodzenia Oli; jaka to wtedy była bardzo śnieżna zima, jak potem przyszły fatalne roztopy i ksiądz musiał konno przyjeżdżać. To wszystko, co Stasiowi streściła Ola w pierwszej ich rozmowie, ale o wiele bardziej szczegółowo, z powrotami do tematów już poruszonych, z refrenami; mówił bardzo niezdarnie, prymitywnie, ale Staś słuchał uważnie i nie spuszczał oczu z niego. Jeżeli wydawało mu się, że opowiadanie brata było prostackie, to jednak czuł poprzez siłę cierpienia całą moc i trwałość organizmu, całą siłę charakteru dobywającą się z prostych słów. Myślał, że jednak on jest mocnym człowiekiem, który potrafi strasznie cierpieć i szalenie kochać. Słuchając gadań, które tak dokładnie odbijało charakter, porównywał siebie ze starszym bratem i uśmiechał się z politowaniem. Nic głębokiego, wszystko po naskórku, a ot i koniec. I nic z tego nie będzie.

Bolesław nie był zadowolony ze swego wygadania się, poszedł zaraz do siebie i długo nic spał. Zdawało mu się, że Staś przyjął to wszystko za bardzo obojętnie, nie przejął się, nie okazał należytego zainteresowania. Myślał, że to wyznanie, które pokaże Stasiowi, co się w nim dzieje, pozwoli im na większy kontakt. Tymczasem Staś nazajutrz był jeszcze bardziej obcy, jeszcze bardziej wesoły i niedostępny. Zaczęły do niego (poczta przychodziła dwa razy na tydzień) napływać listy z zagranicznymi markami, które starannie wycinał i darowywał Oli. Dnie zaczęły się teraz, ładne i chodzili na spacer. Bolesław z werandy czy z lasu obserwował z daleka wysoką, szczupłą postać Stasia, w szarym ubraniu; zlewał się prawie z szarą poświatą, jaka powstaje w

sosnowym lesie: był prawie niebieski, a białe włoski Oli wyglądały niby słoneczna plama, ciągnąca za nim.

Ostatecznie Stanisław nie wytrzymał i zdecydował się i sprowadzić fortepian ze Sławska.

m !

Była to cała wyprawa argonautów. Naprzód Staś pojechał do miasteczka w towarzystwie owego Strzelca, co przeciął i sobie rękę. Droga była daleka i monotonna w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Nie można było ciągle zachwycać się i lasem i drzewami, i akurat Staś poczuł się od paru dni gorzej, miał zdaje się gorączkę porządną, ale postanowił sobie od wyjazdu z sanatorium nie patrzeć nawet na termometr. Niebo było szaroniebieskie jak sprany perkalik, i sosny, i brzozy zmieniały się przy drodze usypiającym rytmem. Poza tym rozmowa ze Strzelcem nie kleiła się, pomimo iż był to przyjemny chłopak. Staś chciał go pytać o siostrę, ale to mu się wydawało nazbyt śmiałe i intymne. Sam nie wiedział dlaczego, ale w drodze tej, może z powodu sąsiedztwa jej brata, ciągle mu przychodziła na myśl ta kobieta, ordynarna i gwałtowna, tupot jej nóg po deskach werandy, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy. Teraz dopiero sobie przypomniał, że miała w ciemnej twarzy takie same szare i przejrzyste oczy jak jej brat. Patrzyła na niego uważ*

nie, gdy przewiązywał rękę Strzelca tym samym zdaje się bandażem, który teraz jako szary strzęp owijał jeszcze dłoń jego sąsiada na dwumiejscowym wózku.

Piach żółty i sypki, prawie mazowiecki, zsypywał się z kół z leciutkim szmerem, było dość gorąco i pot spływał po ciele i karku Stanisława.

Pozwalało mu to odczuwać bardziej realnie ciało, stawało się ono czymś łechcącym dotykającym, niezmiernie przyjemnym i uciążliwym zarazem; patrzył bezmyślnie przed siebie i czuł jak gdyby szmerek piasku w swoim ciele.

Strzelec nazywał się po prostu Janek, jego siostra Malina. Jedyne to pytanie, jakie zdecydował się zadać podczas całej podróży. Ale był przygotowany na dłuższą

jazdę. Oto nie spostrzegł się, jak zaczęły się role, a potem na płaskim już zupełnie polu ukazały się pierwsze zgrzebne domy miasteczka. Stanęli na rynku, trzeba się było obejrzeć za całym fortepianem; Staś rozpoczął od pertraktacji z najbliższym Żydem, ten odwołał się do innego i po chwili już kilkunastu ich otoczyło bryczkę. Ruszali żwawo językami, machali rękami, ale sprawa się nie posuwała, gdyż naprzód trzeba było omówić znaczenie i możliwości odnalezienia żadanego przedmiotu. Staś przysłuchiwał się spokojnie temu świegotaniu.

Ostatecznie odnaleziono jakiś zaułek, w którym znajdowało się mieszkanie, gdzie był do odstąpienia fortepian. Było to mieszkanie jakiegoś zredukowanego urzędnika kolejowego czy bankowego, który chciał odnająć fortepian. Żona jego, jeszcze młoda kobieta, leżała chora w tym samym pokoju, gdzie stał instrument, i Staś, próbując klawiszów, zaczął z nią rozmawiać. Fortepian był jej własnością, nie chciała go w żaden sposób sprzedać, ale odnajmie go na parę miesięcy z przyjemnością, potrzebują pieniędzy, bieda straszna i dziecko im umarło. Za parę miesięcy, jak już będzie zdrowa, znowu fortepian będzie jej potrzebny: od jesieni będzie dawała lekcje muzyki. Staś popatrzał na nią uważnie, ale odwróciła wzrok. Zbyt się oswoił w sanatorium z widokiem chorych ludzi, aby twarz tej kobiety zrobiła na nim wielkie wrażenie, ale nie wątpił ani chwili, iż na jesieni fortepian nie będzie jej potrzebny. Ani jej, ani jemu, pomyślał.

Najwięcej trudności było z transportem. Wynajęta platforma wlokła się noga za nogą, raz po raz grzęznąc w piasku. Trzy konie, wprzęgnięte do jednego dyszla, szły nierówno i koła wcinały się w piasek, wychodząc z kolein. Fortepian był krótki i nie bardzo ciężki. Staś obiecał chorej kobiecie, że się będzie opiekował tym instrumentem jak dzieckiem, i teraz nie chciał wyprzedzić furmanki i noga za nogą kazał jechać Jankowi za nią. Kobieta, siedząc w łóżku, płakała cicho, kiedy wynoszono fortepian, i to zirytowało Stasia.

- Ma czego baba ryczeć - powiedział do siebie, gdy pilnował załadowania, stojąc na wąskiej uliczce. Teraz, gdy jechał za tym fortepianem jak za trumną, wciąż widział łzy przejrzyste i duże, całkiem wyraźne, spływające po policzkach chudej pani.

Wieczór prędko nadchodził, ani się spostrzegł. Majowy wieczór i pomiędzy drzewami widać już było fioletową mgiełkę; niebo też w połowie było liliowe i rzucało niebieskie refleksy między bruzdy na piasku. Szmer kół skwierczał już prawie, a Żyd siedzący nad fortepianem w fantastycznym koszu pokrzykiwał monotonie. Nawet Stasia opuścił dobry humor.

Dopiero późnym wieczorem dojechali do leśniczówki. Przy pomocy Janka, Żyda ze Sławska, Edzia i Olka, wreszcie Maliny Staś wyładował fortepian i postawił go w swoim pokoju. Żyd odprowadził konie na podwórze i uciszyło się kompletnie. Staś siadł przy fortepianie i, położywszy ręce na błyszczącym w cieniu dekle, patrzył przez otwarte okno na noc i na pnie sosen, i na pnie brzoź, bo tam się już zaczęła brzezina - i zaczęło mu się serce ścisnąć. Nigdy nie myślał o tym, a teraz stało się bardzo ciężko.

Zaczął grać bardzo cicho, żeby nie zbudzić małej Oli. Zaczął grać rzeczy przebrzmiałe bezpowrotnie i nie mające tutaj żadnego sensu. Wszystkie tanga i slow-foxy, jakie

tańczył w sanatorium, a które na tle surowego pejzażu nabierały barwy niemodnych sukien. Szczególniej ta piosenka hawajska, jaką tańczył z miss Simons. Była bardzo ładna, taka jak jego tancerka, ale równie jak ona nie miała sensu. Bolesław przez cały czas wyładowywania fortepianu nie pokazywał się. Zamknął się w swoim pokoju i nie chciał nawet patrzeć na gorszący instrument. Noc była bardzo ciepła i Staś nie myślał o bracie. Grając piosenki bardzo pospolite odczuwał ból tej czarnej nocy i jej strach. Nie chciał na razie nic wiedzieć o humorze Bolesława.

Tymczasem Bolesław po pewnym czasie wszedł z dużym hałasem, narobił

naprawdę wrzawy, przeszedłszy się tam i z powrotem po pokoju Stasia, wreszcie usiadł na łóżku i Staś widział, że targa brodę. Po chwili dopiero powiedział:

- Wiesz, ten twój fortepian i całe twoje granie robi mi przykrość. Ty się zupełnie nie orientujesz, że jesteś w domu żałoby.

- Rok już minął - powiedział Staś nie przerywając gry i słowa te jego brzmiały jak początek ballady, deklamacyjnie i barwnie.

Bolesław wstrząsnął się:

- Ta muzyka przeraźliwie mnie denerwuje.

- Mnie także - powiedział Staś i przerwał granie. - Wywołuje przede mną świat, do którego nigdy nie wrócę i którego naprawdę nigdy nie znałem.

Patrzyłem na to wszystko z okna pokoju, przez szybki widziałem jakieś rzeczy, które byłyby piękne, gdybym mógł ich dotknąć. Ale nie dotknąłem i nie dotknę.

To jest niby szkło, niby coś z kruchego lodu... Słuchaj, Bolu - powiedział nagle poważnie - ja widzę, że się ty nie orientujesz w jednej rzeczy. Nie wiesz, dlaczego ja tu przyjechałem.

- Jak to dlaczego?

- Ja wiem, że moja wesołość i moja muzyka drażnią cię - ale pozwól mi na to jeszcze. Widzisz, ja przyjechałem tutaj nie na bardzo długo... W mojej chorobie przed ostatnim sta-

dium następuje zazwyczaj polepszenie. Trwa ono parę tygodni. Ten czas lekarze wyzyskują na to, aby wysłać takiego pacjenta gdziekolwiek bądź, do domu lub na wieś, prywatnie, aby nie umarł w sanatorium. Moja poprawa zaczyna już mijać. Ja cię bardzo przepraszam, mój drogi, ale ja na to nic nie mogę

poradzić. Obciąłbym - uśmiechnął się - ale nie mogę... I dlatego nie bardzo mi się sprzeciwiaj. Ja przyjechałem do ciebie umrzeć.

Bolesław tkwił nieruchomo w ciemności, ale Staś nie patrzył na niego: wciąż go fascynowała ciemna noc za otwartymi oknami i myślał o miss Simons, i żałował, że nie zakochał się w niej, i nucił hawajską piosenkę.

- Dlaczego nie ma u was słowików? - zapytał po chwili.
- Były... ale widać już przestały śpiewać.

Bolesław wstał z łóżka i przeszedł się po pokoju. Ale teraz krok jego był spokojniejszy i cichszy, jak gdyby starał się stąpać ostrożnie. Zbliżał się parę razy w stronę Stasia i patrzył uważnie na jego twarz bielejącą w mroku, skupioną, niby oderwaną od ziemi. Ale brat nie zwracał na niego uwagi, jakaś wewnętrzna pieśń drgała w jego chorych płucach. Po tym dopiero powiedział:

- Widzisz, to wtedy bywa, kiedy przechodzi z płuc na kiszki...

Bolesław bez słowa wyszedł z pokoju i zniknął na werandzie.

IV

Lato rozpoczęło się szczególnie pięknie. Dnie nie nadto upalne kończyły się gorącymi wieczorami i noc przychodziła spokojna, cicha i pieszczotliwa.

Bolesław w dalszym ciągu bardzo mało sypiał. Wyznanie brata nie zbudowało pomiędzy nimi mostu porozumienia. Przeciwnie, czuli się jeszcze bardziej skrępowani, kiedy zasiadali do wspólnego jedzenia.

Bolesław niepokojem spoglądał na Stasia, ale na twarzy brata nie spostrzegał żadnych oznak posuwającej się choroby. Począł już nawet myśleć, że to, co mu Staś powiedział, wyślęło się w jego chorobliwej imaginacji. Staś dużo grał, pisywał listy - a po południu zwykle Bolesław spostrzegał go z Olą, przechadzającego się pomiędzy białymi drzewami brzozy. Gdy wieczorami Staś wracał do domu, Bolesław z kolei bezsenny i zwątpiały błąkał się pomiędzy grobem żony a szerniałymi budynkami leśniczówki i „podwórza”. Przechodził czasami koło mieszkania służby i zawsze dolatywały go stamtąd śmiechy i wesołe głosy. Chociaż do najbliższej wsi było bardzo daleko, jednak do Maliny przychodził zawsze któryś ze znajomych chłopców. Czasem, zwłaszcza w sobotę lub niedzielę, było ich kilku i Bolesław, uciekając od fortepianu Stasia, wpadał w orbitę harmonijki ręcznej, na której wygrywał jeden z tych wielbicieli. Po pewnym czasie Bolesław zaczął przystawać gdzieś w okolicach tego mieszkania

i słuchać tych śmiechów i tego grania. O ile drażniły go piosenki hawajskie, które tak cichutko wygrywał Staś, o tyle głośne i monotonne dźwięki harmonii zaczęły mu sprawiać przyjemność. Sama prymitywność tych piosenek przenikała mu do serca. Nie mógł powiedzieć, aby granie to przekształcało się w jakiś beznadziejny smutek. Przeciwnie, myślał sobie: jak by to było dobrze, gdyby żyła Basia i gdyby tak z nią chodzili tutaj po lesie i po podwórzu, trzymając się za ręce. Basia na pewno cieszyłaby się z takiego ładnego lata i | tego także, że do Malinki przychodzą chłopcy z odległych wsi. Basia miała zawsze specjalną sympatię do ludzi kochanych i zakochanych i zawsze się cieszyła ze wszystkich romanсів, o jakich słyszała. I gdy ktoś opowiadał jej o namiętnych tragediach, odbywających się na wsiach polskich, cieszyła się bardzo, aczkolwiek było tam dużo mowy o wypadkach mordów, zabójstw, okaleczeń. Miłość dla niej była wszystkim. Tak sobie przynajmniej myślał Bolesław i pewnego razu postanowił zobaczyć, którzy to chłopcy przychodzą do leśniczówki. Zbliżył się do progu, na którym siedzieli wszyscy mieszkańcy nadstajenni. Za jego zbliżeniem rozmowy ucichły, śmiechy odleciały. Zebrani przywitali go serdecznie, ale oficjalnie. Spozrzegł, że z obcych jest tylko Michał z sąsiedniej kolonii. Był to dzielny chłopiec i Bolesław bardzo go lubił. Nie wiedział, że to on chodził do Maliny. Nawet nie pytał zresztą, mogło się zdarzyć, że Michał był tutaj przypadkiem. Przechodząc do miasteczka mógł zajść, aby dowiedzieć się, co słychać w tej samotni. Porozmawiali przez chwilę o pogodzie, o przewidywaniach na siano; Bolesław zapytał Michała, co słychać u nich na kolonii, ale rozmowa się nie kleiła. Bolesław rozumiał, że ich krępuje, ale nie miał dość siły, aby się od nich oderwać. Chciało mu się kontaktu z ludźmi i tym przyjemniej mu było, że byli to ludzie prości. Ale wreszcie musiał odejść. Myślał sobie, że chyba zaczyna się w nim coś starzeć czy zmieniać, iż odczuł tak gwałtownie potrzebę obcowania i rozmawiania.

Minął brzezinę i poszedł w kierunku ulubionego swojego miejsca, gdzie można było myśleć, że las się kończy. Rzeczywiście był tam rów, a za rowem ciągnęły się malutkie poletka, za poletkami w gąszczu wiśniowych drzew stała zapadnięta chatka starej Maryjki, z której nie widać było nawet komina sponad drzewek. Za domem Maryjki znowu były pola, zasiane owsem, a potem dopiero rozpoczynał się las. Pola te należały do leśniczówki i rok po roku, niestety, były obsiewane owsem, który stawał się coraz nędzniejszy i nie w bardzo dobrej formie utrzymywał leśne konie Bolesława.

Nigdy nie przychodzili tu z Basią. I może dlatego lubił to miejsce i, włączając się teraz co wieczora (pomimo zmęczenia całodzienną pracą), często przychodził i stawał na skraju lasu; patrzył i myślał, że można sobie wyobrazić, iż pola te ciągną się bez końca, że nic już ich nie przerywa, że się brzezina nie zacznie po tamtej stronie. Ale potem wracała myśl, iż to tylko polana, na której chata Maryjki jest wysepką.

Inne wieczory także były ciepłe. Nie mógł wysiedzieć w domu, gdzie Staś tak często grał na starym i rozstrojonym fortepianie. Instrumentowi nie służył pobyt w domu otoczonym gęstym lasem. Chrypiał coraz bardziej i nawet niektóre klawisze przestały odpowiadać. Walce i tanga brzmiały na nim okropnie, ale Staś nie przestawał grać. Były takie dni, iż stawało się to jego całodziennym zajęciem i że od fortepianu wstawał tylko do stołu lub do łóżka. Pokładał się teraz od czasu do czasu, a zwłaszcza popołudnie lubił spędzać leżąc owinięty w piękny szal, kraciastą pamiątkę z Davos.

Bolesław uciekał daleko w ciemne sosny, ale schrypnięty głos fortepianu gonił go długo, zanim ogromnym kołem zatoczonym w lesie nie wyszedł poza granice jego zasięgu. Usiadł pod sosną i milczał. O niczym nie myślał; wiatr był nieduży i tylko w samej górze drzew przechodził niespokojny szelest. Czarne gałęzie sosen łomotały głucho, zapowiadając na jutro przemianę pogody. Siedział dość długo. Gdy wiatr się ściszał, słyszał odgłosy kroków stąpających po igliwiu: ktoś

się przechadzał niedaleko, tam i z powrotem pomiędzy sosnami. Zwrócił się w tamtą stronę i słyszał przytłumiony głos, nie mógł jednak rozeznać, kto tam rozmawia. Irytowało to go trochę: nawet tu nie ma spokoju, powiedział przez zęby, potem splunął.

Wstał i wrócił do domu. Staś nie grał, nie było go ani w stołowym pokoju, ani w sypialni.

Bolesław przeniósł lampę od siebie do jadalni i powoli pił wystygłą herbatę. Katarzyna spała już w kuchni, od strony podwórza nie dolatywały żadne dźwięki. Widać dzisiaj Miśchał nie przyszedł z harmonią, a może to właśnie on spacerował po lesie.

Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie pomyślał Bolesław o małej wartości swojego istnienia. Nigdy mu do głowy nie przychodziło to, że naprawdę nic by się nie stało, gdyby umarł. I to nie to, oczywiście, że świat nie odczułby tego, ale i dla niego samego to przejście od bezmyślnego istnienia do bezmyślnego niebytu nie miałyby żadnego znaczenia. Krok po prostu zwyczajny, ale nieznaczny.

Pomyślał o obrzędach związanych z jego ewentualną śmiercią, z pogrzebem; jak by go baby ubierały. Katarzyna oczywiście i Maryjka, tak samo jak przy Basi. I czy Malinka przyszłaby do niego! Czy by ona też go myśla, jak żonę? Chyba nie, to przecież młoda dziewczyna. Ile ona może mieć lat?

I pierwszy raz zastanowiła go obecność Maliny na leśniczówce, to, co ona tu robi, jak wygląda. Nawet jej sobie dobrze wyobrazić nie mógł. Gdy zamknął oczy i chciał wywołać jej obraz w głowie, rysy jej uciekały mu. Rozumiał tylko, że widzi owal jej głowy i warkocze skręcone, nie pokryte chustką. Nie pamiętał nawet, czy była ładna, czy brzydka.

- Muszę tam pójść jutro rano - powiedział sobie.

Stanisław bardzo długo nie przychodził. Bolek się dziwił i chodził po pokojach, zajrzał do Stasia, ale tam nikogo nie było. Fortepian stał z podniesionym dekle

jak ptak. Bolesław podszedł do klawiatury i jednym palcem wystukał melodię piosenki, jaką śpiewał kiedyś w wojsku w młodości. Stali wtedy na południu Rosji w małym miasteczku i codzien- nie wymykał się cichaczem z koszar do ślicznej dziewczyny, która wychodziła na jego spotkanie, mieszkała niedaleko. Szli razem na strych i spali tam na sianie.

Przestraszy! się trochę tej melodii, która pod jego niezdar- nym palcem zabrzmiała niezbyt głośno, i zadziwił się swoje- mu stanowi ducha. Niestety, stało się - pomyślał - przy- jazd Stasia zupełnie mnie odmienił.

Teraz może dopiero zrozumiał treść tego, co mu Staś przed kilkoma dniami wyznał. To znaczy, że będzie znowu śmierć w jego domu, trup leżący na łóżku, mogiła w brzezynie czy miasteczku, że odejdzie Staś, który zawsze był dla niego taki obcy z tym swoim „europejskim” uśmiechem. I znowu baby przyjdą myć trupa Stanisława, jak myły trupa jego żony. Tylko Malina nie może. To przecie nie jest rzecz młodych

dziewcząt, to robią zawsze stare baby. Sama nawet nie będzie chciała, to jest zupełnie niemożliwe. Któż by śpieszył do mycia nędznego ciała suchotnika? Umrze, to może nawet lepiej, bo nawet sobie nie można wyobrazić, co z niego mo- głoby być. Suchotnik - to jedyna dla niego profesja.

Ale Staś wrócił z takim uśmiechem, z takim rumieńcem, taki podobny do człowieka szczęśliwego, że ponure myśli ulotniły się z głowy Bolesława.

V

Nazajutrz pomiędzy Bolesławem a Stasiem zaszła nieprzy- jemna scena, zupełnie zresztą bez powodu. Pokłócili się o byle co przy śniadaniu, masło Stasiowi nie smakowało, Bolesław nazwał go „fircykiem”, wypomniał mu podróż i nawet, ile to wszystko kosztowało. Staś zdziwił się brutalności brata i wyszedł czym prędzej z pokoju. Wczesne, chmurne rano. Nie- bo było białe, sosny były czarne. Staś poszedł jakimiś okólny- mi drogami, zrywając po drodze rzadkie i nędzne stokrotki. Zaszedł na podwórze od strony sterczących

zarośli i pokrzyw, które zazwyczaj otaczają śmietniki osiedla ludzkiego. Zaraz za ceglanym domem-stajnią, na ubitej ziemi, która czerniała jak czekolada, stała balia na stołku i Malina prała bieliznę. Była zwrócona profilem do Stasia i mógł się jej przypatrzeć. Miała bardzo piękną linię czoła i nosa, śliczne powieki, którymi pokrywała oczy jak płatkami kwiatu, ładne, bardzo kłasiczne brwi. Natomiast dół twarzy miała prostacki, usta za duże, a zęby zbyt białe; w uśmiechu, dość zresztą rzadkim, miała dzikość, która nie zniechęcała jednak do niej Stasia. Błąkając się między drzewami, mimo woli myślał o niej i cieszył się, że jest to sposób na zapomnienie o przykrej scenie Bolesława. Myślał zapewne, że te pieniądze wydane na marne, bo i tak umrę - powiedział sobie, ale myśl ta przykryta mu tylko przez chwilę, jak ciemna sosna światłe tło nieba, inne weselsze myśli: myśli o istnieniu Maliny. Wczoraj wieczorem, spacerując z nią po lesie, dowiedział się, iż właściwie w me-tryce ma Malwinę, ale że się tak lepiej wymawiało jej rodzi-com. Staś zapewnił ją, że tak o wiele jest ładniej i że na pewno wygląda na Malinę, nie na Malwinę. Śmiała się z tego bardzo. Uważnie śledził jej ruchy przy praniu, muskuły rąk, rąk, które były bardzo białe; piersi miała zaciśnięte w ciasnym malutkim kaftaniczku, wypłowiałym, ongi fiołkowym i za-piętym na małe guziczki. Dłonie jej poruszały się sprawnie i żwawo, z wielką techniczną dokładnością. Prawdopodobnie prała koszule własne i Janka. A może Michała?

Staś nie podszedł do niej i nie zapytał o robotę ani o zdro-wie, ani o pogodę, zawrócił bezszelestnie po paru minutach postoju i poszedł do tak cudownej w tej chwili brzeziny. Brzozy, pochylone to w tę, to w ową stronę, miejscami two-rzyły jakby kościelną nawę i bielone słupce pni miały dziś nastrój skupiony. Zwykle jest tak w te dni ciepłe i bezsło-neczne, przepowiadające deszcz, ale jeszcze gorące, pochylone nad światem i zbliżone jakby do ziemi niskim białym niebem. Nie myślał o niczym, tylko czuł, że jeszcze żyje. Nawet nie myślał, że już wkrótce to wszystko przestanie dla niego ist-nieć. Nie przywiązywał wagi do tego, co go

otaczało. Ważny dla niego był „świat”, „Europa” - jak nazywał lśniące kołczytarze sanatoriów i składziki pod schodami, gdzie tkwiły na czasowym przechowaniu skórzane kufry chorych ludzi. Lubił tamto powietrze, przesycone zapachem eteru i nutami hawajskich piosenek. Z leciutką pogardą patrzył na białe pochylone brzozy, niepodobne do „melezów” napełniających wysokie alpejskie doliny. Nawet nie wiedział, że nazywają się po polsku „modrzewie”.

Bolesław ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że Staś dlatego był w tak dobrym humorze, że już wszystko najgorzsze przeżył. Pożegnał się z tamtym światem, jakby to był na prawdę świat. Miss Simons wiotka i muślin jedwabny jej sukni, i tafla jeziora, i obłoki nad lodowcami, i płyty | Pa-

ryża, i kufry i Londynu... tamto było życie. A tutaj brzozy

i mogiły, kwiaty ubogie i dziecko opuszczone - to nie było prawdziwe istnienie. Przyjechał już tutaj złamany pożegnaniem ze światem; ostatnim jego łącznikiem z życiem był fortopian wynajęty w miasteczku od jego „siostry w chorobie”. Tego właśnie Bolesław nie mógł ani odczuć, ani zrozumieć. Dotykał brata brutalnymi słowami - a brat już, właściwie mówiąc, nie żył.

Poprzez pnie zobaczył, iż ktoś się do niego zbliża. Był to Janek, brat Maliny. Czuł do niego bardzo wiele sympatii, podobny był nawet do Maliny. Bolesław mu kiedyś opowiadał, iż Janek był podejrzany o zamordowanie kogoś tam w lesie; że zastrzelił podobno jakąś babę zbierającą grzyby czy jagody. Oczywiście nikt tego nie wiedział na pewno, ale to nie są rzeczy nieprawdopodobne. Janek nie wyglądał wcale na zbrodniarza, twarz miał okrągłą i różową, ciemne i kudłate włosy.

Zbliżył się do Stasia i przywitał się. Siadł potem na ziemi naprzeciwko niego, odrzucając na bok fuzję. Uśmiechnął się do Stanisława i, przeginając się w tył,

Zapytał:

- A to pan wczoraj z Maliną spacerował?
- Spacerowałem - powiedział Staś.

- Bo Michał to jej cały wieczór szukał i taki był zły. Bo Michał teraz do niej chodzi.

- A ty do kogo chodzisz, Janku?

- Michał jest bardzo zły. Żeby on panu czego nie zrobił.

Stanisław się roześmiał. Co mu można zrobić? Zresztą

Michał może być spokojny, już więcej z Maliną nie będzie chodził.

- Nie podoba się panu? - powiedział Janek.

- Nie obawiaj się. Przeciwnie. Za bardzo mi się podoba i nie chciałbym przeszkadzać Michałowi.

- Może pan chodzić - powiedział Janek konfidencko - tylko żeby Michał nie wiedział. Pan się Malinie podobaj ale ona boi się Michała.

- A co ją Michał obchodzi? - powiedział Staś 1 oburzeniem.

- Jak to co? Michał się będzie żenić.

Potem Janek poszedł, bo musiał obejść swój rewir. Staś znowu został sam na polanie, znowu patrzył na brzozy, tylko coś się zmieniło w tym pejzażu. Nie był już tak obojętny, smutniejszy stał się i zarazem weselszy. Staś się uśmiechał do własnych złudzeń. Ale cieszył się - niespodziewanie ogarnęło go to uczucie - cieszył się, że jeszcze parę dni zostało mu do życia. Dnie te urosły mu teraz w obszar nieskończony, godziny, które mu zostały do wieczora, wydłużyły się fantastycznie i każdą chwilę odczuwał jak podarowany mu kosztowny przedmiot.

Tego dnia po raz pierwszy od dawna zmierzył temperaturę. Wynosiła 37 i 9, nie tak jeszcze bardzo dużo. Poranne osłabienie przeszło ku wieczorowi i ponosiła go ochota do życia. Poprosił Bolesława o konie, chciałby się przejechać na spacer. Zabrał Olę i pojechali. Janek powoził. Piasek znowu przesyłpywał się w szprychach kół, ale melodia nie brzmiała tak smutno. Ku wieczorowi niebo odsłoniło się na chwilę, blade

i wysokie, jasnoniebieskie nad ich głowami i nad głowami sosen. Spacer był

bardzo przyjemny i pozostał w pamięci Oli na długo jako pewna epoka w jej życiu. To był pierwszy ze spacerów, jakie urządził stryj Staś, i ten pierwszy był bez Małiny. Pojechali do jeziora, które płaskie, czarne, otoczone niskimi brzegami, podobne raczej było do wielkiej kałuży, im się jednak bardzo podobało; przy brzegu stało rozwalone czółno, ale Staś nie chciał ryzykować spaceru pomimo serdecznej namowy Janka. Gdy wracali, niebo się znowu okryło chmurami i zaczął kroić deszcz, nie bardzo zresztą gwałtowny, ciepły i zapowiadający długą niepogodę. Staś otulił w swą pelerynę małą bratanicę i patrzył na mroczny pejzaż, drzewa zielone i rozgrzane za niebieską siatką deszczu. Konie mokre lśniły, wieczór robił się dymny i niebieski, gdy zajechali do leśniczówki. Igły sosnowe pachniały i krople spadając i gęsi i liści na zbutwiały dach werandy, stukały cicho jak gdyby rozmawiały. Stukanie było coraz gęstsze i zmieniało się od czasu do czasu w jednolity szmer, który potem znowu ustawał i znowu wracał, jak pasaż jakiś w beznamiętnym utworze muzycznym. Staś siedział sam w swoim pokoju i myślał, że dzisiaj już nie zobaczy Maliny. Nastawiony przed jego oknem samowar nisko dymił na deszczu. Michał zapewne grał na swej harmonii we wnętrzu izby, bo tylko kiedy ścichła rozmowa kropel, ucho łowiło słabe dźwięki, dochodzące od podwórza. Znowu przypomniał sobie wszystkie stracone okazje miłości, przed chorobą w Warszawie i potem w Davos, i zrobiło mu się tak żal, że nigdy nikogo nie mógł pokochać. Kiedy wyjechała miss Simons, nie było jeszcze śniegu, stała w dzień wyjazdu po południu w czarnej atłasowej sukni, której rękawy haftowane były w srebrne gwiazdy. Przechyliła przez poręcz dębowej drabiny patrzyła na niego zakochanym i niebieskim wzrokiem, ale naprawdę nie mógł jej nic odpowiedzieć swoimi oczami. Toteż czuł w niej tyle smutku i rozczarowania, że aż litość w nim wzbierała. Tak bardzo było mu przykro. Nawet chciał jej coś

takiego po-wiedzieć, ale nie umiał tego sformułować. Na dworze wspa-niałe fioletowe chmury zbierały się poniżej Schiahornu i See- hornu, niebo było zimne i fiołkowe; oczy miss Simons smutne. Nic zaprawdę nie wiedział i nie mógł wiedzieć, dla-czego uczucia, jakie wznosiły jej piersi, nie miały w nim od-powiednika nigdy dotychczas ani potem. Myślał, że jest ja-kimś be-
z-
płciowym, niemądrym stworzeniem, które nie może się zdobyć nawet na
szc-
zupłe uczucia. Wtedy może nawet tak nie rozumował. Myśli te implikował
sobie ex post, kiedy sie-dział tu w ciemnym pokoju i słuchał szelestu deszczu.
Na-rzucał je sobie i teraz, kiedy wydawało mu się, że musi robić jakieś
do-
dawania, sumować i wyciskać treść z dni, które wcale żadnej treści nie miały.
Suma oczywiście wypadła bła-
ha, nie mógł tego jednak naprawić ani
prze-
inaczyć. Ry-

ry-
ał-
fm przypisał tę pustkę tylko temu, że nigdy nie kochał. Ale i nad tym długo
się nie zastanawiał, myśl jego poleciała obrazami przez las i przez brzezinę do
tego miejsca za leśni-
czówką, za zaroślami tarniny, gdzie było coś w rodzaju
śmietniska i skąd widać było żółte drzwi w ceglany-
m budyn-ku i wrota do stajni,
i gdzie widział przed chwilą młodą dziewczynę, piorącą bieliznę swego brata i
swego kochanka. Kochanka? Próbował przez chwilę wyjaśnić sobie wyrażenie
ludowe, że Michał „chodzi” do Malwinki, ale zupełnie nie mógł zakreślić granic
temu słowu. Miało ono i mogło mieć tyle znaczeń, a w żadnym razie nie znaczyło,
że Michał jest kochankiem Maliny. Mógł może przelotnie...

Dżdżyste gamy na dachu powracały częściej i częściej. Deszcz rozpadał się
wreszcie na dobre; Staś ubrany leżał na łóżku i patrzył na nieruchome cienie
drzew w oknie. Przez chwilę zdawało mu się, że cień ten zgrubiał i ktoś poruszył
liście i wiotkie gałęzie lipy, która rosła pod samym oknem. Ale nie, to tylko
zapewne liście zgięły się pod ciężarem uzbie-
ranej wody, potem pozbywszy się
jej, podnosiły się gwałtow-
nie. Z pokoju Bolesława padło światło na zadżdżony
las - w jego promieniu widać było cieniutkie nitki przelatujących kropelek, ale

świat dalszy pozostał ciemny, granatowy, nie-dostępny i tajemniczo szemrzący. Wydało się Stasiowi, że życie w tym szmerze deszczu i szeleście mokrych liści jest rozkoszne. W skroniach pulso-wało mu cicho, jak na dworze, i serce biło mocniej. Samot-ność w leśniczówce, zamknięcie za sobą drzwi wiodących do wszystkiego innego były czymś jedynym na świecie i myślał, że skomponował sobie niezwykle ten finał. Zresztą to nie był finał, to była uwertura. Naprawdę życie zaczynało się dopiero. Było piękne i pełne harmonii.

VI

Trzy następne dni, przez które deszcz lał bez najmniejszego przestanku, były najszczęśliwymi dniami w życiu Stasia. Harmonia świata, która mu się odkryła tego wieczora - przyprawiała go o uczucie niezwyklej pełni, ponad którą unosił się szept ciepłego i nieustannego deszczu. Wszystko było piękne i jak gdyby skomponowane w obraz czy w utwór muzyczny. Lipa, opierająca się mokrymi liśćmi o dach i prawie o okno jego pokoju, miała kształt doskonale zrobionej powieści, dzielącej się przemyślnie na konary i uwieńczonej zielenią. Gdy poczynał się budzić z rana, do uśpionej jeszcze świadomości przedziały się dźwięki kropel, miarowo ka-piących z dachu, i turkot wody, ściekającej rynną do podsta-wionej beczki. Mieszając się ze snem, muzyka ta przypomina-ła dźwięki orkiestry, jakie czasem przygrywają nam w nocy. Wyobrażał sobie, że jest w olbrzymiej sali, gdzie jest mnóstwo ludzi, i że wszyscy oni słuchają szemrania instrumentów. Potem powoli, nie otwierając powiek, spostrzegął zieloną jasność, idącą od okien, potem przenikał go dreszcz z głębo-kiej rozkoszy istnienia. I tak zaczynał się dzień, zmierzający do końca zupełnie bez zdarzeń, ale przepełniony wewnętr-znym światłem. W blasku tego światła nawet ponury Bolesław wydawał się istotą pełną radości. Ku wieczorowi było naj-lepiej ; Staś czuł podniecenie gorączki, osłabienie mijało i tęt-no żywiej uderzało w skroniach. Owijał nogi pledem i wy-ciągał się na werandzie, gdzie wiała wilgoć deszczu i

gdzie tylko trzeba było rękę wyciągnąć, aby mieć pełną dłoń mokrych lipowych liści, szerokich i bardzo przyjemnych w dotknięciu. Odsuwały się wtedy wszystkie, jak to sobie nazywał Staś, „europejskie” obrazy i było tak, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżał z Polski i od dzieciństwa siedział tutaj, patrząc na sosny, na lipy, na brzozy. Wieczór po chmurnym niebie przychodził gwałtownie. Noc zagęszczała się razem z deszczem. Nic już nie widząc, tym bardziej mógł odczuwać sze-

lesty. Drżały one różnorodnymi tembrami wciąż wokoło niego, przysuwając się bliżej, aż brały całkowicie go w swoje posiadanie: zasypiał. Do kolacji przychodził zziębnięty i wypijał kieliszek wódki. Bolesław siedział przy lampie naftowej sztywny, smutny, milczący i niedostępny. Nie zwracał uwagi na jego stan, Staś, który milczał dzień cały, rozpoczynał opowiadać o wszystkim: o Davos, o kawiarniach, o sanatoriach, o pannach, których tam było tak bardzo dużo, o muzyce, o szmerach orkiestr symfonicznych, które podobne były do szeptu deszczu tu na leśniczówce. W ciągu tych trzech dni Malinę widział tylko dwa razy: przychodziła do Katarzyny w jakichś sprawach i przebiegała przed werandą, wysoko zadzierając spódnicę i pokazując bardzo białe gołe łydki. Krzykliwym głosem pozdrawiała Stasia i, nie oglądając się, ginęła za rogiem domu. Minuty te były czymś niby iskra elektryczna, która przebiegała po wychudzonym jego ciele. Nie oglądał się za nią ani nawet nie spojrzął dłużej, ale czuł tę obecność chwilową wszystkimi nerwami. Drżał bardziej. Ponad wszystkim jednak - ponad deszczem chłodu i szmerem kropel, górowało jedno uczucie, uczucie odnalezienia. Wszystkie podróże i wszystkie spotkania wydawały mu się tylko przygotowaniem do tych trzech dżdżystych nocy, kiedy spał z uczuciem w sercu, że ma tam schowaną największą tajemnicę. Wszystko razem stanowiło radość tak wielką, aż nawet za ciężką do udźwignięcia - przeto trudno mu było podnieść się, wstać, chodzić z takim uczuciem w sercu.

Stawał w oknach swojego pokoju i patrzył na pokrywę szarych nitek, za jaką

skrył się świat, patrzył na monotonne szeregi sosen, jak gdyby po raz pierwszy ujrzał je przed sobą, i nagle przychodziła mu myśl o tej dziewczynie: - To jest więc życie - powtarzał sobie przez zęby. I zdanie to, które w gruncie rzeczy nie wyrażało żadnej myśli, w którym tylko wyładowywały się zebrane w sercu jego uczucia, stało się motywem przewodnim tych dni niezapomnianych. - To jest więc życie - mówił przy każdej sposobności.

Wydawało mu się, że w chwili, kiedy część życia pożegnał, kiedy odszedł od tego wszystkiego, co w jego wyobrażeniu było „wielkim życiem”, „prawdziwym życiem”, kiedy za-trzasnął drzwi, aby umrzeć tutaj spokojnie, ono dopiero ukazało swoją prawdziwą twarz. Nie zastanawiał się nawet, dlaczego uważał to życie za zdobyte czy odsłonięte w tym właśnie momencie, tylko cieszył się, że zanim odszedł stąd, zaznał tych wszystkich zgromadzonych w jedno uczuć.

W południe deszcz stawał się gęstszy, cięższy, bardziej przenikliwy i nie można było nawet podejrzewać, że za tymi obłokami, które tak nisko opadły nad sosny, jest słońce letnie i niebo niebieskie. Ale Staś nie szukał oczami niebieskiego nieba. Mogło się ono już mu nie ukazać nigdy, deszcz cieszył go i radował chłód, który przenikał go, gdy tak stał przy oknie i patrzył na szare welony mgły, wieszające się na czar-nych gałęziach, omytych z kurzu sosen. Więc jednak znalaz-łem - powtarzał sobie na zmianę. I nie trzeba mu było zada-wać pytania, co znalazł. Była to jakaś treść ukryta i niewyra-żalna, jakaś odwrotna strona, podszewka wszystkiego, co widział, drzew, domów, budynków, ludzi. Coś, co było tłem i istotą zarazem tego, a co napełniało go równą, niezmienną radością. Bał się, iż wszystko się zmieni przy pierwszym pro-mieniu słońca, i z niepokojem śledził, czy się nie wyjaśnia. Ale deszcz równy, czasem tylko zmieniając swój rytm, ude-rzał o gonty dachu i strumyk, spływający z rynny do beczki, szemrał jednakowo głośno i gwałtownie. Chodził w tym szmerze jak w atmosferze szczęścia.

Słuchał swojego oddechu, śledził życie swojego ciała, pul-sowanie w skroniach,

tętno w przegubach rąk i czesał co chwila włosy, spadające na oczy, patrzył na siebie w lustro, jakby szukając potwierdzenia swojego istnienia. Potem szedł do kuchni i stawał przy ogniu, i patrzył, jak się gotuje woda. Bąble wydobywające się na powierzchnię, para podnosząca pokrywę cieszyły go, jak gdyby był dzieckiem. Patrzył na płomień, wydobywające się z suchych, krótkich drewniaków,

które Katarzyna podkładała pod płytę. Zapach kartofli roz- parzanych dla wieprza cieszył jego nozdrza. Po tym ciepłe i trzaskaniu pokój jego, wilgotny, cichy, szary, szmerliwy był jeszcze miłszym przytułkiem dla nieuspokojonego szczęścia.

Trzeciego dnia przed wieczorem ukazały się na zachodzie niebieskie i zielone pląty nieba i deszcz przestał padać. Staś zwrócił uwagę na małą Olę, która przez cały ten czas nie zmieniała trybu życia i wracała do domu wprost z deszczu ze zmokniętą głową i ze zlepionymi włosami. Ale mała straciła swoją ufność do stryja i bardzo chłodno przyjęła jego zainteresowanie małą lalką, zrobioną z gałganków, i w ogóle stanem spraw w kąciku za łóżkiem, gdzie spędzała cały czas wolny od spacerów. Z jakiego powodu wynikała niechęć do Stasia, nie można było stwierdzić. Ale niechęć ta minęła prędko, zanim pląty nieba z zielonych i niebieskich stały się głęboko szafirowe, zanim szafir ów chłodem pokrył cały strop nieba, zanim nastał pogodny i zimny wieczór. Staś, pokaszlując, wziął Olę za rękę i weszli w mokre liście i trawy. Ciemno było na razie zupełnie, dopiero gdy się oko porządnie oswoiło z zamknięciem nocy nad drzewami, dawała się spostrzegać biaława przestrzeń nieba. Staś wiedział jedno tylko, że nad stajnią jest okienko, które powinno być teraz oświetlone, okienko małe, prawie kwadratowe, z czterema dużymi szybami. Przez krzaki i liście, które strząsały krople na ich włosy, poszli tam; okno było oświetlone małą lampką; widać było nikłe i migotliwe cienie, jakie padały na ściany. Nie widać było nikogo, ale z izdebki dolatywały dźwięki harmonijki. Ola ścisnęła mocniej

Stasia za rękę:

- Wujaszku - powiedziała - słyszy wujaszek? Tam

gtajst-

Staś słyszał od dawna te dźwięki nosowe, te harmonie ciągle zawadzające o sekundy, wszystko to odciskało 6ię w jego umarłym sercu jak pieczęcie w Wosku. Dobrze słyszał melodię popularne'] piosenki, którą kiedyś nucił w Szwajcarii, a która teraz dopiero, przerobiona na krajowy sposób, do-brnęła do tej zapadłej leśniczówki. Brzmiała ona tak zupełnie odmiennie, jak odmiennie stało się jego życie pomiędzy brzo-zami i sosnami, życie teraz odnalezione, życie odnalezione w chwili zgubienia. Toteż zatrzymał się jeszcze z małą Olą i, patrząc na oświetlone cztery kwadraciki na czarnym o tej porze murze, zasłuchał się w nosowe septymy i sekundy, wywoływane z mokrej, czarnej nicości przez Michała.

Odtąd już aż do końca - tak myślał - towarzyszyć mu będzie ta melodia, właśnie w ten sam sposób przerobiona, z slow-foxa zmieniona na krakowiaka jakiegoś czy szybkiego marsza, bardziej odpowiadającego polskiej naturze wyko-nawcy. Inna to melodia od tamtej, nucone] parę lat temu przez wszystkich uliczników w Zurychu, gdzie mu robiono pierwszą operację. O ile są w Zurychu ulicznicy, pomyślał potem, i zaczął Oli opowiadać dość szybko i bezładnie o rega-tach na pięknym i zamieszkanym jeziorze. Ale ani on nie zważał na swoje słowa, ani Ola ich nie słuchała. Pociągnęła wuja znowu za rękę:

- Chodźmy tam - powiedziała - posłuchajmy Michała.

Staś przez chwilę się zawahał, tak bardzo propozycja Oli był urzeczywistnieniem jego pragnień; ale bał się, że to będzie zanadto krępujące dla zebranych nad stajnią. Ostatecznie zdecydował się jednak i Zaraz po Wejściu do bielonej na nie-biesko izby pożałował sfwojego kroku. WszySty się bardzo zmieszali, i stara matk^ i Janek, i Michał. Butelka wódki stała na stole. Tylko Malina była nie zmieszana. Otarła fartu-chem stołek z kurzu i podsunęła go Stasiowi; ten nie

spojrzał na nią ani razu, wziął Olę na kolana i rozpoczął uprzejmą rozmowę z Michałem o trudnościach grania na harmonii. Janek siedział na przypiecku przed półokrągłą czeluścią ruśkiego pieca, gdzie paliły się szczapy drzewne; na deskach, przykryte workowym płótnem, stały wyrobione bochny chleba, ogień trzaskał.

Staś, nie patrząc na dziewczynę, widział każdy jej ruch, każde spojrzenie. Ona tylko istniała dla niego w tym towarzystwie: naleła mu kieliszek wódki, odniosła lampkę w głąb pokoju, bo musiała obejrzeć, czy chleb już dostatecznie wyrosł, i zostali na chwilę w milczeniu, w cieniu, po ścianie pełgały blaski ognia, czerwone i złote, i Michał nagle oparł się plecami o ścianę, zapatrzył się w ogień i zagrał tak przeciągłe i tęsknie, aż Ola przycisnęła się mocniej do Stasia, nie odrywając oczu od prostackiej, ale wyrazistej twarzy grającego. Słuchali muzyki w milczeniu.

Stanisław czuł, jak mu wódka rozchodzi się ciepłem po żyłach, jak przestaje czuć wilgoć, pozostałą po spacerze na włosach, obuwiu i ubraniu. Pochylił głowę i słuchał potworzonego, rżącego grania, rzeczy naprawdę bardzo nieprzyjemnej i wywracającej na nice wszystkie jego nie domyślane uczucia, które dotychczas tak prędko przepędzał przez słabo oświeconą komorę świadomości. Wszystko, co przeżył dotychczas, zdawało mu się upadkiem, a miał już tak mało czasu do podniesienia. Zauważył, że ze spokojem mierzył ten czas, ani nie myślał o sobie i o swojej śmierci. To tylko świat miał umrzeć. Zauważył, że oczy Oli, rozszerzone bardzo, patrzyły na Michała z niemym podziwem. Serduszko dziewczynki biło pod jego palcami, czuł je ręką i obawiał się, że jego bije tak samo. Odwrócił głowę i ujrzał, że Malina stoi w głębi izby, za cieniem pieca, w rogu, oparta o ścianę, i słucha grania Michała z głową odrzuconą w tył. Przepiękne powieki, dośkonale i skończone, opadały jej do połowy na oczy i na nich skupił się blask nikłego światła; na powiekach i na włosach, na kosach, które kosmykami wymykały się spod chustki.

Michał grał długo, aż wreszcie przestał, Staś podziękował mu, podał mu rękę i wyszedł, nie patrząc na nikogo. Ola chciała jeszcze zostać, więc się ociągała za ręką wuja. Ofuknął ją nagle i potem pożałował.

Stojąc już w nocy, w mokrym zapachu lasu, podniósł ją na rękę, leciutka była jak ptaszek, przycisnął do siebie i począł całować po czole i po włosach. Ola chudziutkie rączyny owiła naokoło jego szyi i przytuliła swój policzek do policzka stryja, mocno przyciskając go. Staś poczuł, że mała płacze, łzy cichutko spływały jej z oczu.

- Co ci jest? - zapytał się.

Zdławiony głos wpadł mu do ucha niby powiew tej ciemnej nocy:

- Ja tak kocham Michała... I mama... I mama...

Staś poczuł, jak te słowa przeniknęły go zimnym dreszczem. Przycisnął jeszcze mocniej kruchą postać do siebie i dłonią zakrył jej usta. Bał się, że sam się rozpłacze, że pod ciężarem nie znanych i nie uświadomionych rzeczy umrze przed terminem. Ułożył Oleńkę w ramionach jak w kołysce i, wolnym krokiem idąc ku domowi, kołysał ją w tę i ową stronę. To nóżki, to główka dziewczynki potraçały o liście, o krzaki i krople ze szmerem spadały na poszycie. Po chwili zaczął mówić wesołym i równym głosem:

- Głupstwa gadasz, Olu, głupstwa straszne... Za to ci urządzę kąpiel z kropel deszczu, mocno cię wykąpię, mocno cię wykąpię - wyrzucę cię w powietrze...

A Ola już się śmiała: - Wujciu, wujciu, wujcio mi głowę

o jaki pień rozbije. - Ale Staś powiedział poważnie: - Nie, ja jestem kot, widzę wszystko po ciemku. - I w głośnym śmiechu stanęli przed werandą leśniczówki.

Oddał Olę Katarzynie, ale Bolesława nie było w domu. Żal i strach u Stasia przeszły w dobry humor i na myśl o samotności brata ogarnęło go rozczulenie. Chciał go odnaleźć, chciał mu powiedzieć, że nie ma mu wcale za złe jego sceny, wszystkiego, co mu wtedy powiedział. Pomyślał, iż brat pewnie znowu poszedł w nocy i stoi pomiędzy białymi brzożami, nad mogiłą żony, że to stanie

przeraźliwe jest i nic mu nie pomoże. I że mokro jest i wilgoć, i krople deszczu prześączają się przez piasek do trumny, w której leży Basia, i że to pewnie straszna myśl dla Bolesława.

Powoli poszedł w tamtą stronę; zastanawiał się nad tym, jak mało jest skupione ich życie, jak bardzo uciekają od czar-niawego domku leśniczówki, jak ciągle wychodzą, włóczą się, jak nawet godziny posiłków stają się ruchome i nieokreślone i rzadko zbierają rodzinę, z trzech osób złożoną, wokół jednego stołu.

Wilgotne powietrze ociepliło się nieco przed nocą i ziemia parowała. Szedł powoli, pociągając nogami, serce mu się uspokoiło i krótki oddech mógł stać się głębszym.

Stanął przy mogile i oparł się ręką o pochylony pień, które-go gładkie i chropawe cząsteczki odczuwał palcami. Ale Bo-lesława nie było przy grobie żony. Staś stał przez chwilę samotnie i w czuwał się w myśli brata. Co mu przechodzi przez głowę, kiedy tak stoi nad miejscem, gdzie o parę metrów pod piaskiem leży zakopana kobieta, którą kochał? Staś nigdy nikogo nie kochał i dlatego nie mógł sobie dotychczas dość dobrze pomyśleć, co czuł Bolesław. Teraz się dopiero zasta-nowił, w tym miejscu rozkładu i nowego życia. I nawet nie Uczył, za ile tygodni jego tu zakopią, Bolesław był bardzo zdrow i mocny i na pewno długo by jeszcze musiał błąkać się od brzeziny do polanki, gdzie chata Maryj ki...

Muzyka Michała wywietrzała mu z głowy całkowicie, słu-chał teraz cichego poszumu drzew, myślał także, że gdyby człowiek mógł słyszeć leżąc na trzy metry w ziemi, czy posły-szałby, gdyby mu zagrano na grobie. Chyba nie. Ziemia cięż-ka i mocna nie dopuszcza głosów i w głębi panuje cisza jak na pustyni. Usłyszał krok, westchnienie tuż obok. Zdjął rękę z brzozy i dotknął tej osoby, która stała przy nim; uczył te same szorst-kości i gładkość, co na brzozowej korze, te same krople rosy, ten sam chłód. Tylko że pod materią, której dotknął,

drze-mało ukryte ciepło, dające o sobie znać westchnieniem.

Nie powiedziawszy do siebie ani słowa, odeszli tylko parę kroków od mogiły. Na uboczu były tu jakieś krzaczki i mech na ziemi był pewnie suchszy niż gdzie indziej. Z wdzięcznością pomyślał Stach, że szła za nim aż tutaj.

Usiedli. Objął ją bez słowa i chudym ramieniem wyczuł jej szerokie plecy, otoczone wypukłymi mięśniami wzniesienia kości pancerzowej. Pomyślał o tamtej kobiecie - leżącej w mogile, a potem z czułością, wdzięcznością, rozmarzeniem, o jakie siebie nie posądzał, wtulił swą głowę w jej piersi. Objęła go również milcząca, ciepła i zwilżona rosą, przechyliła go w tył i położyli się razem. Tak leżeli bardzo długo, bez ruchu, zasłuchani w nocne życie lasu, w szmer drobnych brzoźowych witek. Potem Staś spokojnym ruchem przesunął rękę na jej serce i poczuł, jak pod dłonią jego, pod wypukłością piersi, pod żebrami bije równo, miarowo i poważnie, jak gdyby nigdy nie miało przestać bić.

Potem powstał sam. Ona jeszcze leżała zmęczona i spokojna. On stanął i poczuł, że całe ubranie ma wilgotne, wyjął chusteczkę i otrzepał kolana z ziemi, otarł włosy z wody, twarz osuszył z zapachu miłości. Potem przyklęknął, pochylił się, otarł z czułością twarz Maliny, przy czym poczuł znowu pod palcami doskonałość powiek, podobnych do listków wiosennych. Ona leżała bez ruchu i nie mówiła nic, jak nie powiedziała nic od samego początku. Wetknął jej w rękę swoją chustkę i szepnął nad uchem:

- Weź na pamiątkę.

Potem znowu się położył, leżał na wznak, ona mu rękę położyła pod głowę. Spojrzał w górę, niebo było bladawe, wysoko, straszliwie wysoko błyszczała pomiędzy gałęziami gwiazda.

VII

Dnie dżdżyste, później roz pogodzone, były tymi dniami, kiedy Bolesław kręcił się po lesie (nie przerywając zajęć) i po leśniczówce jak zwierz po klatce; nie było mu specjalnie smutno, tylko ciężko. Fizycznie, jak kamień na plecach,

odczuwał swoje wstawanie, chodzenie, jedzenie. Wszystkie te czynności i funkcje nie miały żadnego zabarwienia - tym trudniejsze się wydawały. Pustka, którą odczuwał, pogłębiła się tak, że nawet nie chodził na grób żony. Podczas kilku ostatnich wieczorów, kiedy tam był jak zwykle, w myśli jego wmieszały się takie pierwiastki, że wolał na razie - po raz pierwszy od tej śmierci - przerwać swoje odwiedziny mo-
giy*

Drętwiał na myśl, że może przybyć jeszcze jedna. Chwilami wydawało mu się, że życie, które wiodą, jest tylko imaginacją, czymś wyobrażonym sobie i odwołałym. Myślał, że Staś mu mówił o swojej chorobie na próżno, żartując czy strasząc. Że mu nic nie grozi. Ale dnia, kiedy padał deszcz i odrętwiały brat leżał u siebie na werandzie i nie mówił ani słowa, napełniały go strachem, że to już. Tak że tego wieczora, kiedy się wypogodziło i Staś w dobrym humorze poszedł z Olą na spacer, ucieszył się bardzo, uśmiechnął się nawet na swoje strachy. Poszedł pomału za nimi zdziwiony trochę kierunkiem, który obrał Staś, śledził, dokąd doszli, zatrzymał się razem z nimi, patrząc na oświetlone okienka mieszkania nad stajnią, został sam w cieniu mokrej nocy, gdy weszli do środka. Muzyka harmonii męczyła go, stał i patrzył w oświetlone okno. Widział, jak światło lampy uciekło w głąb izby, po ścianach i po szybach zaczęły latać odbłaski płomieni. Muzyka Michała uderzyła na niego dzika i jeszcze bardziej przejmująca niż poprzednio.

Teraz nie ulegało wątpliwości, iż Staś „zakochał się” w siostrze Strzelca. Tego tylko brakowało. I co on zobaczył w tej prostej dziewczynie? Taka sama dziewczka, jakich po lasach tutejszych jest tysiącami, ale nie, musiał. Mało mu było tych wszystkich europejskich pańienek, których fotografie rozstawił w swoim pokoju, na prostym drewnianym stole. Malina jest, właściwie mówiąc, brzydka, ma tylko ładne oczy i śliczną oprawę, brwi równe, powieki, rzęsy.

Przymknął oczy, choć prawie zupełnie było ciemno, i starał się znowu wyobrazić

sobie twarz dziewczyny. Ale z dachu
kapały głośno krople, w rynnie stukało resztkami i dźwięki te bliskie
przeszkadzały skupieniu jego myśli. Widział jakieś inne oczy, inne twarze, inne
powieki. Zdawało mu się, że krótko tak stał, że nie zdołał jeszcze pomyśleć
wszystkiego, że muzyka Michała, przytłumiona tutaj, a jednak wyraźna, nie
wszystko mu jeszcze powiedziała. Las sosnowy dochodził prawie do samego
budynku, cztery niestare sosny stały na przeciwko kwadratowego okna izdebki,
miał przez chwilę ochotę wdrapać się na jedną z nich, aby zobaczyć, co się tam
dzieje. Ale najniższe gałęzie zaczynały się dosyć wysoko, a potem zawstydził się
swojej myśli. - Do czego to dochodzi - powiedział prawie głośno i ostatecznie
cofnął się pod samą ścianę, aby słyszeć wyraźniej. Muzyka się urwała,
zabrzmiały kroki Stanisława i Oli, a potem zduszony szept dziewczynki: - Ja tak
kocham Michała... imama... i mama..

Nie wiedział, czy Ola nie dokończyła zdania, czy też rozwinęło się ono w
powiewie nocy. Tamci odeszli cicho z początku, potem coraz głośniejsze
szeszcząc w krzakach, a on zatrzymał się przygwożdżony, nie rozumiejąc ani
słów, które dopiero co usłyszał, ani swoich uczuć.

Poszedł równym i spokojnym krokiem bardzo daleko w las i późno powrócił do
domu. Potem znowu chodził po pokoju i zatrzymywał się co chwila przed
łóżkiem głęboko uśpionej dziewczynki. Nawet nie myślał, aby w słowach Oli
znajdował się jakiś tajemniczy sens; nie mogła znać tak mała dziewczynka
jakiejś okropnej, ordynarnej tajemnicy; przecież to już półtora roku, jak Basia
umarła. Michał wcale wtedy tu nie bywał, nie chodził jeszcze do Maliny; ani o
tym nie myślał. Tylko chciał wiedzieć, co mała mówiła - a nie mógł jej wprost o to
zapytać. Sens musiał pozostać utajony, tajemnica rośnej nocy nie poruszona
nigdy. Cisza nad wszystkim, jak cisza w brzezynie, nad grobem.

Najbardziej go jednak irytowało to, że przerażenie wobec podsłuchanych słów
prawie równoważyło się z wściekłością | powodu tego, iż Staś chodził do

mieszkania Malwiny.

Wprawdzie był tam krótko i zależało mu tylko na posłuchaniu muzyki, w mieszkaniu znajdowało się parę osób, a Stasiowi towarzyszyła Ola, jednak to było nieprzyzwoite. Chciał zaraz nazajutrz pomówić ze Stasiem i zwrócić mu uwagę na to niestosowne postępowanie. Ale kiedy wstał, musiał zaraz jechać do odległego rewiru, gdzie od samego rana przystępowano do znaczenia drzew na przerąb, a on musiał tego pilnować.

Pogoda była nie ustalona i pełno chmur na niebie, chłodnawo. Siedział w lesie do wieczora, pilnując roboty, znacząc drzewa cyframi i starając się nie myśleć o wczorajszym wieczorze. I rzeczywiście, wydał mu się sennym przywidzeniem. I owszem, myślał dużo o Basi i bardzo tęsknił do niej. Pamięta, jak kupowała jagody od baby, jak zsypywała z dzbana górę poziomek na półmisek, pamięta, jak z Olą szła przez las w białej sukni, pamięta, jak odbierała zajaca z rąk Michała, który go jej przyniósł w prezencie. Tak, więc Michał i wtedy już przychodził, ale to przecie był strzelec, chłop, ktoś, na kogo się zupełnie nie zwraca uwagi, tak jak on sam na przykład wcale nie zwraca uwagi na narzeczoną Michała.

Nie był histerykiem i zbyt wielki szacunek miał dla Basi, aby móc pomyśleć o niej coś złego, ale samo połączenie myśli

o umarłej z myślą o cielesnym podobaniu się, w ogóle o cielesnym, sprawiało mu dojmującą przykrość. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Basi mógł się ktoś poza nim podobać. Że na przykład doskonała budowa Michała mogła uczynić na niej pewne wrażenie, mogła wywołać myśli, o jakie nigdy nie posądzał żony podczas ich krótkiego małżeństwa. Że miała sfery życia zmysłowego, które nigdy do niego nie należały.

Nie pojechał do domu na obiad i przerwę obiadową spędził na brzegu polany, patrząc, jak wiatr rozpędza chmury. Robiło się coraz cieplej i coraz pogodniej i ziemia schła w oczach. Leżał w rowie, mrużył powieki i odczuwał rozleniwienie, które nie miało do niego dostępu podczas epoki tępego zajęcia się bieżącymi

sprawami. Rozleniwienie to było mu tak dalece obce, że odczuwał je jakby jakiś żywioł odmienny od jego istoty, wlewający mu się do żył. Zastrzyk dziwnego mleka, który odmieniał same składniki jego bytu.

Południe już było gorące, świerszcze ćwierkały i pachniały czerwcowe smółki. Kwitły w rowie różowo. Grzebał palcami bezwiednie w trawie i w kwiatach, czuł, jak miał wilgotnawej ziemi zachodzi mu za paznokcie, i przyszedł mu do głowy werset: proch jesteś i w proch się obrócisz. Basia obróciła się już w proch.

Ciężko mu było myśleć o tym wszystkim, nieszczęście było silniejsze od niego. A przy tym jak nieszczęście odczuwał swoje siły, swoje zdrowie, tęgość swoich ramion, krok swój, który był bardzo pewny siebie i sprężysty nawet wtedy, kiedy łąził z kąta w kąt, nie wiedząc, co robić z sobą, ze swoim życiem i swoją biedą.

W końcu, leżąc tak w ciepłe i zapachu, zasnął niezdrowym snem, jakim śpią na ziemi i w trawie ludzie, całe życie sypiający w łóżku. Gdy zbudził się, robotnicy przystąpili do pracy bez niego. Posuwali się szeregiem wzdłuż młodego lasu, oskrobując korę niektórych drzew, młodszy leśniczy z sąsiedniego rewiru szedł i znać cyfry czerwonym ołówkiem i pędzlem umoczone w smołę.

Ptaki śpiewały jak szalone. Liście były pełne i zielone.

Poczucie uspokojenia się w przyrodzie było dla niego pewnego rodzaju ulgą.

Przez chwilę jeszcze siedział w rowie i nie zastanawiał się nad tym, czy roboty idzie, jak należy. Nie myślał nawet o swoich niepokojach. Tylko jedno mu przyszło do głowy, że gdyby był żonaty, toby nie przespał tak w rowie godzin obiadowych. I że lepiej jest, bo mógł tu pozostać i dopilnować wszystkiego, jak należy.

Mimo że dni były długie, już się prawie ściemniało, kiedy wrócił do domu.

Odprawił robotników, potem jeszcze gadał i młodszym leśniczym, bardzo miłym człowiekiem, potem przyszedł strzelec i opowiadał o szkodach, jakie wyrządzili niedawno ludzie z sąsiedniej wsi, odległej o dwadzieścia pięć

kilometrów: jak podpiłowali wspaniały stary modrzew i już nie zdążyli go wyrócić - drzewo stało jeden dzień, strzelec je widział, ale nim przyszedł nazajutrz z ludźmi, wiatr je obalił, niszcząc mnóstwo młodzieży. Młodszy leśniczy, Krępski, zirytował się. Bolesław odwiózł go do jego leśniczówki, bo to było dość daleko, a jemu się nie śpieszyło.

Gdy wrócił, zastał tylko Katarzynę. Powiedziała mu, że Staś poszedł na spacer, a Ola gdzieś pobiegła. W milczeniu zjadł przygrzany obiad i wyszedł na ganek. Jak dawniej irytowało go granie Stasia na fortepianie, tak teraz wściekało go milczenie. Chciałby czuć, jak głupie, schrypnięte melodie szarpiały mu nerwy na kawałki. Przypomniała mu się harmonia Michała i poszedł na podwórze. Janek dawał koniom obrok, na górze paliło się światło. Zawahał się przez chwilę, potem poszedł po schodach i nie pukając, otworzył drzwi. Stał w progu nie zauważony. Jego córka siedziała w cieniu na łóżku, oparta o wysokie poduszki Malwiny. Obok łóżka siedział Michał i opowiadał jej skomplikowaną bajkę o głupich ludziach. Oprócz nich nie było w izbie nikogo. Ola zobaczyła ojca, skoczyła na równe nogi i przybiegła do niego.

- Tatusiu, tatusiu, jakie bajki opowiada mi Michał.

Bolesław pocałował córkę. Michał stał wyprostowany. Bolesław po raz pierwszy spojrział na niego uważnie. Był to chłop dużego wzrostu, wspaniale zbudowany, rysy miał wulgarnie, choć przyjemne. Miał bardzo białe włosy i jasne wąsiki, oczy małe, bardzo niebieskie. Bolesław uśmiechnął się do niego. Michał spoglądał na niego bardzo uprzejmie. Wiadac było, że jest to dobry człowiek.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział Bolesław dziwnie miękko - niech ci Michał dokończy bajki, a potem jazda do domu. Czas spać!

Zawrócił i poszedł. Zszedł ze schodów ciężko i powłókł się jeszcze trochę w bok, chciał odejść w las, aby go nie widzieli, aby samemu nic nie widzieć. On nie umiał opowiadać bajek, nie umiał nawet porozmawiać z Olą, nie wiedział nigdy,

co jej ma powiedzieć. A przecie to wszystko, co mu na tym świecie pozostało. Staś ma rację, mała jest bardzo zaniedbana. Ale cóż on na to poradzi? Jest taki zapracowany.

Dziś był dzień nowych elementów: spostrzegął w otoczeniu tak znanym w charakterze swoim tak pospolitym nowe rzeczy. Nie było mu to przykre, budziło się jak gdyby inne w nim życie, interesowało go to. Południowe rozleniwienie zabarwiło mu już całe popołudnie, cały wieczór na sposób nie znany. Czuł się, jak gdyby zwalczał niebezpieczny narkotytek. Po raz pierwszy widział dzisiaj Michała i zobaczył, że jest to chłopiec ładny i miły, który się może podobać. Po raz pierwszy poczuł w sercu ukłucie z powodu opuszczenia Oh, samotnej dziewczynki, chodzącej po bajki do izdebki stróża.

Gdy wyszedł za stajnię, za sosny, jak gdyby po raz pierwszy także zobaczył brzezinę, gdzie leżała żona. W de późnego wieczora tkwiły te pnie białe, oświetlone resztkami światła, jak perły wprawione w aksamit. Pnie te, białe, gładkie, toczone, przypominały mu tutaj ramiona kobiece, mnóstwo splątanych ramion, wznoszących się w górę gestami błagania, uniesienia, czasem odgiętych ku dołowi ruchem poddania i rezygnacji. Bukiety ramion w górze łączyły się dłońmi, plątały palcami, niektóre zaś stały pojedyncze i beznadziejne. Wilgotne, parne powietrze napełniało zgęszczeniem interwały pomiędzy brzożami i wszystko razem czyniło wrażenie jakiejś zmysłowej świątyni. Ramiona te tworzyły kolumnę połysków. Nigdy mu się ten las nie wydawał taki, ten las trwożnych szeptów, zimnych powiewów, nocy zimowych, kiedy gwiazdy takie ogromne, dni jesiennych, kiedy płatki jak złoty deszcz spadały na mogiłę, kiedy wisały w górze niby żółte, potargane strumienie. W ten wieczór czerwcowy nie było w brzezynie ani śmierci, ani trwogi, ale życie, którym dyszał las, stało się potężne i niepokojące do tego stopnia, iż spokojny oddech Bolesława zamącił się niespodzianie. Powietrze uwięzło mu w gardle i serce się ścisnęło. Stał i pa-trzał, a lasem przechodzi raz w raz pieszczotliwy dreszcz, ra-

miona pochylały się i zmieniały układ, potem wracały, a ciemne coś, w co wpijały się te białe ręce, słodko szemrało za każdym razem. Jak jeden złoty punkt wbity w te cienie zaśniewa nagle pierwsza nuta spóźnionego słowika. Zachłystnęła ona stojącego wciąż nieruchomo, niby grudką lodu. Grudka ta topniała w gardle, robiła się słodka i słona, przepełniła czymś ciepłym oczy.

VIII

Ani tego wieczora, ani kilku następnych bracia nie spotkali się przy kolacji. Tylko podczas szybko zjedanego obiadu zamieniali kilka nic nie znaczących słów. Bolesław zresztą nabrał zwyczaju spędzania godzin południowych tam, gdzie go praca zastawała: przy poręczach, zasiewach, karczunkach. Staś miał wolną rękę i robił, co mu się podobało. Przed wieczorem często teraz wyjeżdżał końmi na spacer, powoził sam, zabierał też z sobą Olę, a Malwina czekała gdzieś w umówionym miejscu i jechali razem. Podczas jazdy nie rozmawiali nigdy prawie z sobą. Przebywali jakiś kawał piaszczystej drogi, kręcili się po lesie - w milczeniu wracali do domu.

O ile była z nimi Ola, ona najwięcej mówiła. Staś nie zastanawiał się nad tym, co robi, Malina jeździła i koniec.

Natomiast męczyło go ogromnie milczenie tej dziewczyny. Myślał, że czai się poza nim jakaś zasadzka czy tajemnica, której oczywiście nie będzie mógł zdobyć. Często, jadąc przy niej bryczką Bolesława, stojąc obok niej w lesie, patrzył na jej odwrócony, spokojny, zamyślony profil. Tyle w nim było spokoju i pogody, że widok ten działał kojąco na jego nerwy. A potrzebował sercu uspokojenia: nerwy się poszarpały ostatecznie, nocami miewał halucynacje, żołądek nic prawie nic trawił. Ale serce biło mu równo, gdy patrzył na niskie czoło Malwiny, gdy całował to czoło.

Postanowił nie pytać o nic tej dziewczyny i nic jej nie mówić. Nie opowiadać ani o swoim życiu, nie pytać jej o to, czym dotąd była. Nawet nie chciał nic wiedzieć o Michale. Tylko gdy wracał do domu, długo nie

mógł usnąć, widział przed sobą jej rysy i myślał, że teraz nastaje godzina Michała. Ale Michał widać przestał przychodzić, bo przez te dni Staś nie widywał go wcale.

Cały dzień właściwie był oczekiwaniem. Z rana leżał długo i słuchał głosów domu. Katarzyna stuknęła nożem w kuchni, siekąc cebulkę do obiadu, kogut piał monotonie, nieznośnie, zamknięty w chruścianym kurniku; ciało Stasia z wolna budziło się do życia po nocy pełnej koszmarów, złane zimnym potem.

Zdrętwiałe ręce i nogi przechodził drżący dreszcz, przebiegało mrowie i miał już siłę otworzyć powieki. Spozstrzegał wtedy przykryte zielonymi liśćmi okna i światło pogodne lub przyćmione w miarę zmiennej pogody. Gdy był deszcz, lubił słuchać jego szeptu, zanim spojrzał na świat. Ale bardziej cieszył go blask słońca, pogoda. Czuł wtedy w sobie więcej życia i wstawał trochę wcześniej. Zjadał śniadanie, siadał do fortepianu - ale przez cały czas czekał, czy nie postłyszyci mocnych kroków, głosu chropawego. Malina często w ciągu dnia miała jakieś sprawy do kuchni i przylatywała do Katarzyny. Przyszło mu kiedyś na myśl, że właściwie, pędząc to leniwe, beczynne, bezmyślne życie, nie głosu Maliny powinien nasłuchiwać, nie kroków dziewczyny. Ale te inne, skradające się, ciche kroki jak gdyby odeszły. Sam począł wierzyć w pomyłkę lekarzy i chociaż się nie czuł zbyt silny, nie zauważył w sobie żadnych niekorzystnych zmian. Postęp choroby nie dawał znać o sobie. Nie jadł nic prawie, ale też i nie odczuwał żadnych specjalnych dolegliwości. Ciężko mu było tylko do południa, nie wiedział jednak, czy to jest ciężar miłości, czy choroby. Tak nic nie wiedział o tego rodzaju uczuciach - i śmierć, i miłość przeżywał po raz pierwszy.

Dopiero około piątej uczuwał siłę wstępującą w niego. Cieszył się niezmiernie z życia, choć miał uczucie, że wszyt-

ko mu przeszkadza, jest przegrodą pomiędzy nim a rzeczywistością. O zmroku Mai wina kończyła robotę i pachniała ziemią i mydlinami. Spotykali się na umówionym z góry miejscu i ogarniało ich pełne treści milczenie. Czasami tylko

to, że dotykali rąk swoich, idąc kołyszącym krokiem, sprawiało im przyjemność i stanowiło o całym życiu Stasia. Naprawdę, to, co przeżywał, napełniało go po brzegi, wylewało się i stawało się jedyną radością, o której nawet nie mógł mówić, bo Malwina by go nie zrozumiała.

Powoli pojął, że kobieta, która z nim chodziła po mrocznych ścieżkach lasu, składa się z samego kłamstwa. Nie wiadomo, co było przyczyną, co skutkiem. Dość że wszystkie nieliczne słowa, które Malwina mówiła Stasiowi, były wyraźnymi kłamstwami. Do tego stopnia, że Staś nie wierzył ni czemu, nawet temu, co siłą rzeczy musiało być prawdziwe. Nasamprzód Malwina wszystkiemu zaprzeczała, o cokolwiek Staś ją pytał. Bo w krótkim czasie zerwał z systemem niezdawania pytań. Przeciwnie, im bardziej widział, że do niczego one nie prowadzą, tym bardziej drażniło go to i skłaniało do zasypywania dziewczyny pytaniami. Na wszystko odpowiadała: nie. Nikogo nie kochała, nigdy nie miała kochanka. Miał nie do niej chodzić, nie znała żadnego chłopca dokoła. Posuwała się do tego, iż twierdziła, że przed Stasiem nie znała żadnego mężczyzny, co było oczywistą nieprawdą. Staś nie wierzył temu, ale koniec końców powstawał mu w głowie szmer owych „nie” i przestawał wierzyć sam sobie i swojemu doświadczeniu. Miss Simons zwierzała mu się ze wszystkiego, była szlachetna i szczerą, mówiła, że nie on był pierwszym, którego kochała, że miała trzech kochanków, że kradła u ojca pieniądze, że była niedobrą córką. Nic go to wtedy nie obchodziło, nie stwarzał sobie z tych wyznań żadnej atmosfery. Gdy patrzył na siebie w owej epoce, drażniła go, do pasji doprowadzała własna bezmyślność. Jeden dzień w tym pustkowiu wydawał mu się pełniejszy niż całe tamto życie. Przestał odpowiadać na listy z cudzoziemskimi markami. One też stały się rzadsze, nie w każdej poczcie znajdował je ku swej irytacji Bolesław.

Fałszywe odpowiedzi Malwiny stanowiły jakby rój motyli, który ją otaczał. Były tym specyficznym zapachem, który drażnił i odurzał Stasia. Co dzień przed

ujrzeniem dziewczyny postanawiał sobie, że dzisiaj będzie milczał, i co dzień stawiał jej te same pytania, które wkrótce stały się stereotypową litanią, nieodmienną jak rytuał. Kończyło się to zawsze tym samym: nudzę cię, prawda? na co padało ostatnie, niezawodne, pełne wewnętrznego przekonania: nie!

Na jedno tylko pytanie odpowiadała pełnym i szczerym: tak. Staś zaryzykował je w parę dni po pierwszym spotkaniu. Było to pytanie: kochasz mnie? Staś zdawał sobie sprawę, że owo „tak” było równie kłamliwe, jak wszystkie poprzednie „nie”, ale mimo to sprawiało mu ono taką przyjemność, że powtarzał je nie tylko codziennie, ale nawet po kilka razy w ciągu jednego dnia. Cóż miał mówić, gdy ona milczała, gdy leżeli oboje w zaroślach, w wilgotnym poszyciu lasu, czując pod palcami źdźbła trawy i zeszlóroczne, opadnięte liście? Gdy mocno przyciskał chudymi rękami jej ciepłe i obfite ciało, gdy dotykał dłonią jej skóry i przez samo dotknięcie czuł, jak była biała? Powtarzał to pytanie bez sensu i na różne tony, a ona zawsze tak samo odpowiadała, nie zmieniając intonacji ani na jotę. Podobne były te odpowiedzi do zapóźnionej kropli po deszczu, spadającej z liścia na liść. Raz tylko odpowiedziała inaczej.

Był to wieczór gorący. Staś ociągał się z wyjściem i do późna odkładał spotkanie na skraju lasu, skąd widać było chatę Maryjki. Był tego dnia wyjątkowo osłabiony i nawet czuł zmęczenie w palcach od brząkania na fortepianie. Był to dzień pocztowy i dostał właśnie list od miss Simons, która znowu miała jechać do Davos. Wyobraził sobie z ironicznym uśmiechem pejzaż i domy, i powietrze pachnące apteką, jakby zrobione na receptę. Brząkał jakąś melodię, powoli wył stukując nuty, było to zawsze to samo tango, które tańczył w minionym życiu. Upał męczył go, ale może nawet nie z powodu zmęczenia odsuwał od siebie moment wyjścia na skraj lasu. Odczuwał możliwość spotkania z Maliną jako najwyższe szczęście, jako wszystko, jako jedyną rzecz, co mu była dana w życiu - i z niezmierną, nowo narodzoną miłością myślał o lesie, w

którym się spotkają. Ziemia, na której mają leżeć, wydała mu się bliskim i dobrym stworzeniem do-mowym, oswojonym zwierzęciem, do którego się można przytulić. Malina i las, i ziemia, wszystko to było niby zdro-wie, którego już nie miał odzyskać, ale które jeszcze go pieści-ło. Zszedł bardzo powoli z werandy, obejrzał się na leśniczów-kę, ciemną już i pochyloną, i zastanowił się nad ciszą, jaka w lesie drzemiała.

„Pewnie dziś będzie księżyc” - pomyślał sobie.

Ale księżyc nie było; mijając drzewa przechodził przez cieplejsze i zimniejsze smugi powietrza, przechodził między nimi, jak pływak przepływa między ramionami prądów. Znalazł Malinę na pół uspioną leżącą na płask pod nisko nachyloną sosną, która namiotem swoich dolnych gałęzi często przykrywała ich pieszczoty. Zbudził ją i powtórzył namiętnie codzienne pytania, i posłyszał codzienne odpowiedzi. Nie chciał tylko się pytać: czy go kocha. Wahał się, całował ją, obejmował. Pod koniec dopiero, gdy już miał odejść do domu, nie dotrzymał swojej obietnicy; powiedział: kochasz mnie? Na co posłyszał zdławiony szept: a pan mnie kocha?

W spomnienie tego niezwykłego zapytania ukołysało go do snu prędzej niż zwykle, zbudziło go wcześniej, obdarzyło na dzień następny większymi siłami. Siły te okazały się złudne. Pod wieczór powłóczył zaledwie nogami, ale w świetle tego cichego ponocnego pytania Mal- wina wydała mu się inną dziewczyną i wszystko, co mu przed-tem wyraźnie kłamała, nabrało prawdopodobieństwa. Od-krył w niej możliwości uczuć, których się po niej nie spodzie-wał. Dziwne nadzieje zaczęły go opanowywać. Myślał, że gdyby to wszystko przybrało kształty gwałtownej i żywioło-wej miłości, to życie jego zakończyłoby się w chmurach i nad- zwyczajnościach. Byłby to prześliczny finał. Mówiąc to nie wierzył już w możliwość tego końca. Udawał sam przed sobą, że komponuje finał, a czuł, że zaczyna dopiero z trudem i pracą budować sobie jakąś treść w tym życiu. Dopiero za-czyznał żyć. Wszystkie

myśli jego oplatały się wokoło tego mocnego, białego ciała, które codziennie trzymał w objęciach. Sądził, że wypija z tego ciała soki, potrzebne mu do przewyciężenia słabości.

Myślał, że od tej chwili Malwina zmieni odpowiedzi na pytania, które jej powtarzał, że mu odpowie czymś w rodzaju uczucia. Że zacznie może ona pytać. Ale nie. Była jak dawniej - pokorna, spokojna, wstydliva, kłamliwa. W dalszym ciągu mówiła, że nie znała mężczyzn przed Stasiem, że Michał do niej nie chodzi. I na pytanie: czy go kocha, od- podwiała Stasiowi „tak”.

Chciał to wszystko odmienić, poruszyć, dostać się do środka tego zimnego ciała, ale wysiłki jego opadały zupełnie bezskutecznie.

Raz tylko, w parę dni po owym wieczorze, gdy Staś znużony jej biernością wstrząsnął ją za ramiona i wymagał odpowiedzi, chciał się dowiedzieć innych rzeczy, powiedziała mu znowu coś, co odkryło jeszcze gorsze perspektywy.

- No, a Michał - zapytał. - Michała kochasz?
- Tak, też kocham - odpowiedziała cichutko.

IX

Tego dnia spotkali się wcześniej niż zwykle, bo była niedziela i Malwina nie miała roboty po południu. Dzień był niezwykle gorący od samego rana i Staś zmęczył się bardzo. Poszedł piechotą aż nad jeziorko, martwe, czarno-białe oko wody, bo tam się umówił ze swoją kochanką. Przynajmniej było daleko od domu i nikt ich nie mógł widzieć. W trawach

i trzinach nadbrzeżnych Malina powiedziała mu, że Michała także kocha. Nie zwrócił z początku uwagi na to powiedzenie i, zostawiwszy dziewczynę, która się jeszcze chciała wykąpać, powlókł się do domu. Drzewa stały sztywne i pociły się w warze nieruchomego powietrza. Niebo zalegał szafir bez chmurki od samego rana, cienie nikłe tworzyły rzadką siatkę pomiędzy drzewami. Błękitna dal lasu stała dziwnie sucha i wyraźna w deseniu. Staś, oblany potem z gorąca i z osłabienia, pomału poruszał nogami i co chwila przystawał, aby zaczerpnąć

powietrza. Nic go jednak nie odświeżało. Oddychanie stawało się męką. Gdy przyszedł do leśniczówki, było już późno. Brat gdzieś poszedł. Wnętrze domu było chłodne i przyjemne. Ola spała leżąc na łóżku ojca, muchy brzęczały i łaziły jej po twarzy. W pokoju Stasia szyby przykrywa! zielony chłód lip, usiadł przy fortepianie i patrzył przez okna na liście i na drzewa w głębi. Począł sobie powtarzać słowa Maliny.

Dziś był w ogóle niedobry dzień. Przy stole znowu pokłócili się z bratem. Bolesław trzasnął drzwiami i nie dokończył obiadu. Uciekł gdzieś, a teraz znowu to powiedzenie Maliny. Coś nieskończenie głupiego w tych słowach, fałsz, prostota, nieumiejętność sformułowania uczuć. I po raz pierwszy uczuł się upokorzony uczuciami, które go wiązały do tego stopnia.

Położył ręce na klawiszach i przypatrywał im się bezmyślnie. Potem spostrzegł, że palce mu bardzo wychudły, że są niezwykle chude. Po tym jednym mógłby poznać, że już koniec się zbliża, ale nie chciał przywoływać tej myśli.

Przeciwnie, zaczął myśleć o długim życiu.

Później zaczął grać ulubioną hawajską piosenkę, którą grali wtedy, gdy tańczył z miss Simons. Pamiętał wybornie tę chwilę. Ale teraz nastąpiło to, co rzadko mu się zdarzało, i tylko wtedy, kiedy słuchał jakiejś egzotycznej pieśni. Z głębokim zimnym dreszczem zaczynał odczuwać ogrom rzeczy, których na pewno nigdy nie zobaczy.

Obszar zielonych, zimnych oceanów, niebieskie morza pełne palm i wysp, ziemie zimne i rozpalone. Kobiety w portach i we wsiach, ludzie, ludzie, ludzie.

Wszyscy, których mógłby znać, kochać, zajmować. Nie ma ich tutaj, nie ujrzy ich nigdy. Gdy te momenty przychodziły do niego w Szwajcarii, ścierał czym prędzej widoki, które mu podsuwała wyobraźnia. - Będę miał w życiu daleko więcej - powiedział sobie. Ale teraz wiedział, że nie będzie miał w życiu już nic więcej oprócz ciała bardzo prostej kobiety, i powódź nie znanych, niemożliwych do wyrażenia światów zalewała go, aż się zachłystywał i oddychał z trudnością.

Ile tego mieszkało w jednej prostej, hawajskiej melodyjce, którą wydobywał ze starego fortepianu nieskomplikowanymi ruchami palców. To, że nie tylko nigdy nie pozna tych światów, ale nie będzie mógł nawet wyrazić dreszczu, jakim one go przenikają, było męką jeszcze gorszą. Poczuł ogrom przyrody, grozę jej nieubłaganych praw, wielkość jej i obojętność. Obojętność jej wobec jego małej śmierci wstrząsnęła nim. Zimno mu się zrobiło w tym upale, włosy stanęły dęba, śmierć trawi go powoli, a przyroda nic, nic, nic nie robi, aby to odmienić - przypatruje się jego zgonowi, obojętna. Jakież miliardy umarły tak samo młodo. Wstał i rzucił z trzaskiem wiekiem klawiatury. Przestraszył się. W drzwiach stała Ola, zbudzona ze snu jego muzyką, blada. Stała jak zahipnotyzowana.

Wziął ją za rękę, pociągnął na łóżko i szybko, zmęczonym głosem począł jej opowiadać znowu o zaćmieniu księżyca w górach, o czerwonej, umarłej tarczy, zawieszanej nad mroźnymi szczytami. O poczuciu przestrzeni, jaką daje cień ziemi, padający na księżyc. O gwiazdach, które są wtedy większe i głębiej osadzone w mroźnym, czarnym niebie. O wyciu w górach psów, które się boją. O wiecznym szmerze potoków i wodospadów, które na wszystko obojętne powoli kruszą wielkie skały i znoszą je w doliny. Wobec tej wielkiej gry elementów nic nie znaczy życie ludzkie.

Ola nic nie rozumiała i bała się tego opowiadania. Staś powtarzał nerwowo; - Ja wiem, że ty nic nie rozumiesz, ale to nic. - Potem zostawił ją na łóżku, a sam chodził po pokoju, objając się o fortepian. Mała siedziała nastraszone, trzymając w zwisającej dłoni rękę oskubanej lalki.

- To nic, że ty nie rozumiesz, nic nie szkodzi - powtarzał Staś - ale ja nie mam komu opowiedzieć, a jak ja już będę w ziemi, przypomnisz sobie, jak wyrośniesz, przypomnisz sobie. Tylko nie przypominaj sobie w nocy, bobyś nie spała.

A potem ciągnął: - A może byś spała. Ludzie śpią pomimo tego, iż otaczają ich takie straszne rzeczy, drzewa, obłoki, zwierzęta. Ale to nic nie znaczy, ludzie

śpią...

Gadał takie i tym podobne rzeczy. Pociemniało gwałtownie. Dopiero po chwili zorientowali się, że to nie tylko wieczór, ale i burza. Stanisław co chwila odczuwał w ustach smak dziwny, ale przyjemny i, ocierając chustką język, wiedział, że ślina jest różowa. Pocięło mu także kilka kropel krwi z nosa. „To na burzę” - pomyślał.

Wreszcie od tego gadania zrobiło mu się słabo. Spojrzał na Olę, siedziała na łóżku płacząc cichutko i w przerażeniu przyciskając lalkę do piersi. Staś nagle zatrzymał się. Rozczulił się i chwycił dziecko w objęcia. I wszystko skończyło się we łzach.

Płakali oboje i razem z tymi łzami oddalały się strachy. Znowu stawali na ziemi, nie widzieli strasznych rzeczy, tylko ściany, które ich okrywały od zbliżającej się burzy.

Pierwsze poświsty nadleciały, a jednocześnie kroki Bolesława rozległy się na ciemnej werandzie, w zupełnie już ciemnym domu.

- Okna zamykać - zawołał twardym, rzeczywistym głosem, aż drgnęli oboje. Rzucili się do okien i pozamykali je szybko, już łało.

Bolesław zapalił lampę, postawił ją w stołowym pokoju i stanął spokojnie pośrodku. O szyby zamknięte uderzył nagle potok deszczu i krople wody spłaszczyły się na oknach. Bły-

skawice i gromy następowały po sobie w miarowych odstępach. Niebo otwierało się bladoniebieskie i ukazywało nie-rzeczywiste kształty powykręcanych drzew.

- Idź do swego pokoju - powiedział nagle Bolesław do Oli groźnym głosem i twarz jego w podwójnym świetle lampy i błyskawicy błysnęło surowo.

Staś zastanowił się nad tonem tego głosu, ale nim zrozumiał,

o co chodzi, Bolesław wyjaśnił mu wszystko.

- Ładne rzeczy tu wyprawiasz - powiedział.

Stasia nad wszelki wyraz przestraszył początek tej sceny. Nie dlatego, że bał się słów, które miał mu Bolesław powieǳieć, ale przelęła go niepotrzebność tego, co mógł od brata posłyszeć. Wszystko to będzie próżna i czcza gadanina, która nie tylko nie zmieni jego stanu wewnętrznego, ale która nie potrafi ani na jotę odmienić tego, co czuł dla Malińny, ostatniej deski ratunku przed zanurzeniem się w odmęty. Skrzywił się tylko w odpowiedzi.

- No co? - powiedział poczekawszy trochę i widząc, że Bolesław stoi wciąż nieporuszony.

Bolesław powoli odwrócił ku bratu skrzywioną twarz. Staś zobaczył, iż prawy kąt ust co chwila opuszcza mu się na dół gwałtownym, choć powstrzymywanym ruchem. Musiał w końcu wziąć się ręką za twarz, aby ów ruch opanować. Górne zęby błyszczały mu spomiędzy warg.

- No, co ja tu wyprawiam? - zapytał znowu Staś prze-kornie; choć czuł, że mu krew do nóg uciekali musiał usiąść na chwilę. Czuł się coraz słabszy i chciał, aby rozmowa minęła jak najprędzej.

- Ta dziwka - rzucił wreszcie gardłowe słowo Bolesław.

- Nie bądźże takim moralizatorem, wiesz przecie, że nie ślubowałem czystości...

- Tak, ale w moim domu.

Stanisław zaśmiał się szeroko:

- Cóż to za nadzwyczajne zdania. Cóż ty sobie myślisz?

Co ty w ogóle sobie myślisz, że ja, młody chłopak, mogę żyć w celibacie... Co za dziwaczne pojęcia?

- No, a ja?

- Co mnie to obchodzi, jak ty sobie radzisz. Rób, jak chcesz. Ja dosyć się napaściłem po sanatoriach.

Bolesław jak gdyby złagodniał, poruszył się i odjął rękę od twarzy, zrobił parę kroków po pokoju. Zatrzymał się koło Stasia:

- Szkodzić to ci może.

- O, nie bój się. Nie bądź taki troskliwy, mnie już nic nie zaszkodzi.

Scena zdawała się kończyć łagodnie. Staś uśmiechał się prawie poufale, ale nie czuł się jeszcze na siłach podnieść z krzesła. Spojrzał ironicznie na brata.

- Śledziłeś nas - powiedział.

Niedobre było to ironiczne spojrzenie. Bolesław znowu nasrożył się i nagle zatupał nogami na środku pokoju w ataku bezsilnej wściekłości. Tupaniu temu odpowiedział silny piorun, który uderzył w las gdzieś bardzo blisko; potem nastąpił wzmożony atak prześcieradeł wody na okna domostwa. Staś z bezsilnym zdziwieniem spojrzał na szaleńca. Ten znowu zmienił się na twarzy i począł wyrzucać z ust bezładne słowa:

- Włóczycie się, ciągle się włóczycie... wszędzie was pełno... na każdym kroku... dziś... zawsze... wszędzie... dziś... nad stawem...

Staś opanowywał się powoli i odczuwał coraz większy niesmak. Porzuciłby już dawno ten pokój i uciekł do siebie, gdyby nie dziwna ciężkość nóg, którą odczuwał tak bardzo wyraźnie i która wznosiła się coraz wyżej. Patrzył na brata z litością prawie, nie rozumiejąc zupełnie jego stanu.

- Niepotrzebnie nas tak śledziłeś. Cóż cię to mogło obchodzić?

- Co mogło mnie obchodzić? - wybuchnął tym razem już łatwiej Bolesław. -

Jakże mmm ma nie obchodzić to two-

je postępowanie. Jednego dnia powiadasz mi, że umierasz... a potem latasz za dziwkami dniami i nocami, codziennie...

- Raz jeszcze i to stanowczo powtarzam ci, że to nic twoja rzecz.

- Tak, ale ja więcej od ciebie wiem, czego ty nie wiesz. Wiem to, czego ty się nawet nie domyślasz.

Stasiowi było zimniej, sztywniał powoli cały i błyskawiczne myśli, przechodząc mu przez głowę, nie przynosiły mu żadnej ulgi. Wreszcie, czyniąc nadludzki wysiłek, wstał i zrobił parę kroków w kierunku drzwi do swego pokoju. Ale nogi

odmawiały mu posłuszeństwa. Stanął oparłszy się

o stół przy drzwiach.

- Poczekaj, poczekaj, muszę ci powiedzieć, co widziałem dziś wieczorem przed samą burzą. Widziałem, jak całowała się z Michałem - więcej, więcej niż całowała.

Staś widział świat jak przez mgłę i nie słyszał już ochwilowych błyskawic, wszystko zlało się w jeden huk w jego uszach. Najwyższym napięciem woli mówił bardzo spokojnie, dzieląc słowo od słowa długimi przestankami. Jemu samemu głos ten wydał się nie swoim.

- Co mnie - ma - obchodzić zachowanie - tej - dziewczyny. Nie - jest - moją - żoną - niech całuje Michała.

Bolesław zakręcił rękami przed twarzą i zachwiał się. To było ostatnie, co Staś widział, gdyż lampa, potrącona ręką starszego brata, spadła nagle na ziemię i z brzękiem zgasła.

- Chwała Bogu, że się nie zapaliła - powiedział Staś zwyczajnie. Ale w tej chwili błyskawica oświetliła Bolesława, stojącego pod ścianą, opartego o ścianę. W świetle błyskawicy wydawał się bardzo blady. Staś spostrzegł, że trzyma w ręce jakiś czarny przedmiot. Siły nagle mu wróciły, jednym susem był przy nim, ścisnął go za obie dłonie i rozkrzyżował na ścianie. Wszystkimi palcami lewej dłoni ścisnął jego rękę w przegubie.

- Puść - syknął - puść zaraz. Będziesz sam żałował.

Rewolwer wypadł z hałasem. Nowa błyskawica oświetliła obu braci. Ale już obaj rozluźnili mięśnie, opadali. Bolesław chwycił Stasia kurczowo za ramię i począł mu szeptać do ucha:

- Widziałem, wiesz; widziałem, że w domu nikogo nie ma, Janek w lesie, stara na odpuście, a Michał czekał cały dzień, aż ona wróci od ciebie, ona przyszła, już było ciemno, zapalili lampę, widziałem... widziałem...

- Nieprawda -- powiedział Staś, wpadając nagle w ton brata. - Nieprawda, z

dołu nic nie widać.

Szept Bolesława stał się ledwie dosłyszalnym:

- Wdrapałem się - powiedział - wdrapałem się na sosnę, wiesz, tam są sosny, naprzeciwko tych okien... wszystko widziałem, jak na dłoni, nie zgasili lampy...

Staś odtrącił brata.

- Szpieg. Widać, że to cię coś obchodzi.

Odszedł znów ku swoim drzwiom, ale nogi znów stały się jak ołów, usiadł w ciemności, odnalazłszy krzesło, ale ciężar przeszedł wyżej do ciała, do serca, do płuc, zahamował oddech. Kaszlnął i nagle zrobiło mu się lekko, zanadto lekko nawet, bo głowa wydała mu się pustą banią. Przytknął chusteczkę do ust, ale okazała się wątlą przegrodą, krew leciała mu przez palce.

X

Przez parę następnych dni Staś leżał bez ruchu i na pół przytomny w pokoju o przysłoniętych oknach. Pilnowały go Ka-tarzyna i Ola, zmieniając się regularnie, dając mu lód do łykania i mierząc gorączkę. Tymczasem w Bolesławie zacięło się coś i nie mógł się nawet zwrócić w stronę pokoju brata. Gorzej, trudno mu nawet było mówić i na zapytania córeczki wydawał przez zaciśnięte zęby jakieś odgłosy, podobne do mruknięć niechętnego zwierzęcia. Pierwszego dnia nawet nie poszedł na roboty, tylko siedział nieruchomo przy stoliku w swoim pokoju. Światło dnia odbijało się w jego jasnych źrenicach, ściągniętych jak oczy kota; nie widział nic i nie rozumiał nic, przysyłali po niego dwa razy, żeby szedł do lasu, ale on nie poszedł. Dopiero po południu zwłókł się z twardego stołka, nie dotknął obiadu zostawionego na stole i poszedł na karczowisko. Młodemu leśniczemu, który na niego czekał tak długo, powiedział szeptem: brat mój bardzo chory. Nie tłumaczył się inaczej, nie mógł zresztą nic innego powiedzieć, a może rzeczywiście to było dla niego w tej chwili prawdziwe. Odczuwał wagę tej choroby jako pretekst do wściekłości i bezsilności, które razem się płacząc

przepełniały go niemocą taką, że trudno mu było zrobić krok. Siadł na pniu wykarczowanym, polecił leśniczemu, aby robił, co chce, i czekał ze zwieszoną głową, aż nadejdzie wieczór. Upokarzające czyny, których dokonał ostatnio, zaskoczyły go bardzo: zawsze uważał siebie raczej za naturę szlachetną i trudno mu było zgodzić się teraz z tym, iż to on siedział na sośnie naprzeciwko oświetlonego okienka pokoju służby leśnej i patrzył szeroko otwartymi oczami, jak Malina całowała się z Michałem.

Już uprzednio chciał być wleźć na tę sosnę, wydała mu się jednak trochę niedostępna, ale tego wieczora, przed burzą, namacał jakieś sęki, które w jednej chwili wprowadziły go na poziom równy z oknem. Wściekłość miotła nim już wtedy, kiedy wyszedł amory Stasia z Malwiną nad jeziorem; w upale skradał się za nimi, szedł w niedalekiej odległości, bowiem oni, pewni siebie i rozleniwieni, nie oglądali się wcale. Przymykając powieki, teraz widział wyraźnie przez siatkę pni ich powoli idące figury, przygarbioną, chudą, wysoką postać Stanisława i żółtą chustkę Malwiny. Szli, kryjąc się pomiędzy szarymi pniami, przemykając się pomiędzy krzakami i niską porością lasu, a on za nimi z takim uczuciem w duszy, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczał. Zaciskał rewolwer w kieszeni i wtedy właśnie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że mógłby zrobić zeń użytek. Zresztą - pomyślał teraz - żeby zabić Stasia, nie trzeba rewolweru, jak się okazuje.

Uczucia jego na sośnie nie były takie proste. Patrzył nie tylko na kochankę brata, ale także na Michała, co do którego miał od niedawnego czasu nieokreślone i dziwne podejrzenia. Oczywiście podejrzeń tych nie mógł i nie chciał konkretyzować, ale patrzył na niego z pewną ciekawością. Zresztą uczuć tych nie rozpoznawał. Podobne były do tej burzy, która nagle porwała sosnę, na której siedział, i pochyliła gwałtownie ku ziemi.

Przymykał teraz twardo oczy, przyciskał powieki i powtarzał:- Straszne, straszne! - Słowa te odnosiły się jednak głównie do nieprawdopodobnych

możliwości, które odkrył w sobie.

Jeszcze trzy dni zaciętego przerażenia czekały go. Nie mógł naprawdę na tyle przewyciężyć siebie, aby wydostać z gardła jedno słowo normalnym głosem. Proste rozkazy, które wydawał Katarzynie, z największym trudem przeciskały mu się przez zęby, tak samo ledwie mógł mówić do leśniczego czy do robotników. Usta miał stale zaciśnięte, a o ile mógł, to i powieki.

Trzeciego dnia spotkał w lesie Malwinę. Zbierała grzyby, które po burzy puściły się gwałtownie i w wielkiej obfitości kryły się pod krzakami. Szedł przez zarośla bardzo oderwany od wszystkiego, co widział, i nagle ukazał mu się fartuch Malwiny w białe i liliowe paski. Stanął, odchylając się w tył gwałtownie, ale ona się uśmiechnęła łagodnie i zachęcająco. Wyprostowała się pomiędzy gałęziami leszczyny i stała równa i śmigła przez chwilę bez słowa. Potem pokazała mu koszyk pełen porcelanowych grzybów i powiedziała:

- Widzi pan, ile ich jest w tym roku.

Bolesław nie widział jej jeszcze nigdy tak i bliska i tak na osobności. Patrzył bez przerwy na jej równy nos, doskonały łuk brwi, na niskie czoło. Myślał, że jest naprawdę bardzo piękna. Tak milczał i patrzył na nią, aż się zarumieniła i po-patrzyła na koszyk z grzybami.

- Będą dziś na kolację - powiedziała - Ola lubi.

Widział dokładnie, jak rumieniec wszedł na jej białe czoło, zajął je całe; spoglądał jeszcze-, aż z natężeniem odwróciła głowę, już nawet na grzyby nie patrząc. Zawstydziła się pro-sta, wiejska dziewczyna. Nie znosiła tego upartego, zimnego, kociego wzroku.

Bolesław nagle powiedział, ale także z wielkim trudem i głosem ściśnionym:

- Pan Stanisław bardzo chory.

- Tak, wiem - odpowiedziała Malina. - Mówiła mi Katarzyna, nie wiem, czy mam przyjść pilnować? - dodała niepewnie.

Bolesław milczał przez chwilę, potem znowu wydusił:

- Nie możecie się spotykać.

Rumieniec stał się całkiem purpurowy, odwróciła się bokiem i gorączkowo huśtała koszykiem.

- Został już tylko Michał - rzucił jeszcze Bolesław.

Obruszyła się i spojrzała na niego jednym spojrzeniem.

- A co panu Bolesławowi do tego ?

Skoczyła gwałtownie i zaczęła uciekać, ale Bolesław nie chciał jej popuścić.

Rzucił się za nią pędem, nagle czując prężność swoich nóg. Krzyknął tylko: Stój, stój, ale ona uciekała, pędem wypadła na polankę, gdzie stała pośrodku jedna stara sosna, oparła się o drzewo i dyszała ciężko, śmiała się też pełnymi ustami, o ile jej na to ciężar oddechu pozwalał.

- O, ja głupia - mówiła.

Bolesław nie mniej zmęczony stanął tuż przy niej. Czuł, że musi się na nią rzucić, zdławić ją, zatkać jej pysk. Ale powoli wściekłość mu minęła, oddechy ich stały się miarowe, wyciągnął rękę i dotknął jej ciała. W lesie było ciepło i cicho. Potem pochylił się, pocałował ją i nagle zawróciwszy spokojnym, równym krokiem oddalił się w stronę robót. Cała złość minęła, mówił z łatwością, młodemu leśniczemu udzielił

kilku cennych wskazówek, siadł na pniu, zapalił papierosa i gwizdał lekko; oczy mu się nie zacinały, mrużyły się tylko lekko.

Tegoż wieczoru zaszedł do pokoju Stasia. Był to trzeci dzień po krwotoku, Staś odzyskał już trochę sił, ale ruszał się z trudnością i żaden wyraz nie spłynął na jego bladą, białą twarz, kiedy zobaczył brata. Już było ciemno i świece się paliły. Bolesław pochodził trochę koło fortepianu, Staś nie zwracał na niego żadnej uwagi, Bolesław wciąż chciał iść, ale zatrzymywał go ów wyniosły i obojętny wyraz twarzy, leżącej na poduszkach. W zacisku ust Stasia widniało jeno cierpienie: to jedno nadawało tej twarzy pozór życia. To, że brat cierpiał, że nie

był obojętny, pociągało Bolesława nagłym poczuciem wspólnoty. Nie mówili nic i zdawało się, że obu jest jednakowo trudno powiedzieć jakiegokolwiek słowo. Wreszcie Staś podniósł powieki i popatrzył na brata tępym spojrzeniem, w którym jednak mieściło się tyle przenikliwości, że Bolesław odwrócił się. Było to przerażające spojrzenie, matowe, powolne, ostateczne. Sam ruch podnoszenia ociężałych śmiertelnie powiek mógł odebrać wszelkie słowa. Ale Bolesław właśnie poczuł możliwość mówienia, pomyślał, że to ostatnia chwila, kiedy może mówić jeszcze z bratem, jak z równą sobie istotą, kiedy może go zapytać o rzeczy najważniejsze.

Zdecydowawszy się, szybko zbliżył się do łóżka i położył rękę na wystającym obojczyku Stanisława. Ten tymczasem odwrócił wzrok, przymknął powieki, posłał spojrzenie do środka, martwy był znowu i obojętny.

- Czy ty wiesz coś o Basi?.. Coś takiego, czego ja nie wiem? - zapytał szybko Bolesław i stał przez chwilę z opuszczoną ręką.

Staś znowu podniósł oczy z wyraźnym zdziwieniem.

- O Basi? - wyszeptał z trudnością.

- O Basi... bo tak mówiłeś... że nie masz żony, że żona...

- Skądże mogę wiedzieć coś o Basi - pewniejszym głosem powiedział Staś. - Powiedziałem... bo tak się mówi... bo rzeczywiście nie

jestem żonaty.

Bolesław stał jeszcze jakiś czas nad bratem i czekał dalszych słów, ale nic nie nastąpiło. Jeszcze się troszkę bardziej pochylił - ale Staś milczał, wreszcie otworzył oczy i powiedział cichutko:

- Idź już sobie.

Zmieszany, zasmucony Bolesław cofnął się do drzwi. Do-piero stamtąd zobaczył, że pod fortepianem, wsunięta pod ścianę i przykryta lirą pedału, siedziała Ola.

Włosy jej jasne sterczały jak strączki wokoło małej główki i one jedynie świeciły w cieniu instrumentu. Bolesław zawołał na nią, po-tem się przeraził, że ona tu

była. Ale dziewczynka spokojnie wygramoliła się spod fortepianu z zawsze nieodstępną lalką w ręce. Bolesław wziął ją za rękę, wyszedł z pokoju przez sień na werandę. Wieczór był ciepły, mokry, pachnący. Do-piero teraz poczuł, że w pokoju Stasia było bardzo duszno i panował mdły zapach choroby.

Zeszli z oświetlonej werandy w noc, w ciemność, ogarnia-jącą nagle i ze wszystkich stron. W ciemności czuli drzewa i liście, które mijali, a zdawało im się także, że owiewał ich lekki radosny oddech ziemi, leżącej w czarnych osłonach, ale czuwającej. Przeszli znajomą drogę i po raz pierwszy od wielu dni stanęli nad mogiłą matki. Ola zauważyła, iż zmieniło się wszystko bardzo od tego czasu, kiedy tu byli. Nie bała się już i nie nudziła, przeciwnie, znajdowała przyjemność w sło-wach, które powtarzała za ojcem. Świat się rozszerzył, odkąd stryj Stanisław przyjechał i opowiedział tyle ważnych rzeczy, świat wypiękniał, odkąd Michał przychodził grać na harmo-nijce.

Właśnie, gdy tak stali pomiędzy brzożami, dźwięk tej muzyki doleciał z pobliza. Ola uczuła, jak ręka ojca drgnęła, potem ukląkł i słyszała, jak serdecznie płakał.

XI

Pytanie Bolesława o Basię wyprowadziło Stasia wewnątrznie z równowagi, chociaż nie chciał i nawet nie mógł tego po sobie pokazać. Leżał nieruchomo, zapadłszy w stan osłabie-nia świadomości, cichy i spokojny. W uszach mu tylko brzę-czało mocno, jak gdyby rój pszczół założył sobie plastry w głowach łóżka. Okna przysłonięto mu chustkami, bo ani okiennic, ani firanek nie było, i leżał tak w cieniu bez światła, zdając sobie sprawę tylko ze swojego cierpienia. Cały dopływ wewnętrznego życia zahamował się nagle, zatrzymało się wszystko zewnętrzne i pozostawiony nagle sam sobie Staś spostrzegł, że jest zgnębnym strzępem, niezdatnym nawet do śmierci. Wszystko, co czynił dotychczas, było niepotrzeb-ny hałasem, a chodziło właśnie o jedno: o ukrycie cierpienia, o zapomnienie. Wszystko było jak ten fortepian, na którym wygrywał tak głośno.

A na czwarty dzień jego choroby i fortepian właśnie za-brano, właścicielka jego umarła, spadkobiercy chcieli jak najprędzej zrealizować jej majątek, i nie zawiadamiając ani uprzedzając, zajęli platformę przed leśniczówką w ciepły poranek. Bolesław na próżno tłumaczył i przedstawiał cho-robę brata - ani chcieli słuchać. Musiał się zgodzić na wy-danie instrumentu. Wraz z tragarzami wpadło światło do pokoju chorego: podniesiono chustki na oknach i Staś ze /'.dziwieniem zobaczył, że na dworze jest tak bardzo pogodnie i pięknie. Potem przyszedł jeszcze Janek, wszyscy razem obstąpili fortepian, natężyli siły i zgodnym wysiłkiem unieśli go w powietrze. Powoli posunęli się ku drzwiom, przechyliłi czarne pudło i zabrali je sprzed oczu Stasia, jak wielką czarną trumnę... „Moja nic będzie taka duża” - pomyślał. I poża-łował fortepianu, miał właśnie ochotę dzisiaj lub jutro zwlec się na chwilę z łóżka, aby zagrać raz jeszcze piosenkę hawaj-ską, przy której mógłby znów poczuć wstrząsający ogrom tego wszystkiego, czego nigdy już nie zobaczy. Przy muzyce łatwiej było wywołać w sobie to morze rzeczy, spojrzeć w słodką otchłań spraw nieznanych. Trochę go to upajało, uderzało do głowy. Ale teraz patrząc w otwarte drzwi, za którymi fortepian zniknął, poczuł zalew innych spraw. Za-kończenie definitywne wszystkiego, co nie było strachem i cierpieniem. Dotychczas nie doznawał specjalnie uciążliwych dolegli-wości fizycznych, teraz zaczęła się prawdziwa męka. Ciało wychudłe bolało od leżenia, a ruszać się nie mógł, gdyż każde poruszenie kosztowało go mnóstwo wysiłku i kończyło się bólem, rozchodzącym się od krzyża ku kończynom. Nie mógł nic jeść. Katarzyna przynosiła mu albo rosół, albo mleko, co drugi dzień kręciła mu lody i już od samego rana nękał go dźwięk maszynki czochnącej się w lodzie z wielkim chrzęstem. Dźwięk ten, dochodzący z sąsiedniej sieni, był także źródłem radości, mimo że go męczył. Chrzączenie puszek lodowej było jedynym odgłosem, który dochodził do niego, świadcząc o obszernym, wielkim życiu, które teraz już odbywało się poza nim. Leżał jak pień wyrzucony nurtem rzeki na brzeg. Był

jedną z uschniętych gałązek, które zawsze obserwował na świerkach i sosnach. Czekał teraz na ostateczne ułamanie.

Raz jeszcze wstał na parę dni i z wielkim wysiłkiem wprawdzie, ale ruszał się normalnie. Zszedł z ganku i, przeszedłszy drogę, poszedł kawałek w las na spacer. Nazajutrz gwizdał i nucił przy goleniu się, jak w pierwszy dzień po przyjeździe do leśniczówki, i Bolesław uśmiechnął się nawet, słuchając tego gwizdania.

„No, a może znowu mu będzie lepiej?” - pomyślał.

Ale Staś, kiedy tak wstał na parę dni, miał to głupie wrażenie, że coś zgubił. Nie opuszczało go ono ani na chwilę. Czuł się jak ktoś, kto nosi od wielu lat pierścionek na palcu i zostawi go na umywalni; poczucie braku czegoś bardzo codziennego i zwyczajnego prześladowało go i nie mógł

o niczym innym myśleć. Nie był to brak fortepianu, bo kontrolował siebie. Był to jakiś ważniejszy brak, brak tego, co mu wiązało dotychczas wszystko, co widział i co czuł, w jakąś organiczną całość.

A teraz to, co go otaczało, rozsypało się jakoś, niby paciorki różańca, niby szklane perły, które miała kiedyś na szyi miss Simons. Spostrzegł jeszcze z rana zielone światło na oknach swego pokoju, ale jednak to światło nie zapalało się od wewnątrz, nie wychodziło z niego - i, budząc się, odpychał je niechętnie; nic mu ono nie objaśniało, nie stanowiło istoty tego, o czym myślał dawniej z taką ogromną radością, jak

o czymś nowo znalezionym. Sosny i lipy, deszcz i pogoda rozpadły się, były osobno - tkwiły oddzielnie, wetknięte trochę bez sensu w pasmo jego odczuwań i jego myśli.

Przyprawiało go to o dotkliwe cierpienie. Ani słabość, ani brak sił, ani niemożność spożycia jakiegokolwiek bądź pokarmu nie przyprawiały go o taki ból, jak to pogubienie całego świata, który mu się w oczach przetwarzał w bezwład

1 chaos.

Gwizdał i nucił jak za pierwszych dni po przyjeździe, ale wtedy to gwizdanie także było jakimś mąceniem rzeczywistości, z której miał się wynurzyć nowy kształt świata. Teraz jednak, gdy wszystko wirowało w takt nuconej piosenki, wiedział, że się już nic nie wynurzy, że wszystko zawaliło się, że jest koniec - i piekło go to bólem gorszym niż chore płuca i kiszki.

Kiedy przestawał nucić, przychodziła cisza, która pełna była strachu. Nagle, gdy milkł, kulisy domu, lasu, werandy napełniały się wymownym milczeniem. Szelest igieł sosnowych był jedynym dźwiękiem dla tych cierpień i strachu. Kładł się do łóżka i wszystko, co uderzało go w serce, każda myśl o samotności, o końcu, o strachu, przychodziła osobno, dźgała go bezładnie, gdzie trafiła, w głowę, w serce i odchodziła bez konsekwencji, ustępując miejsca innej.

To było okropne i natężał wszystkie siły, aby jeszcze ruszać się, nucić, siedzieć ze wszystkimi na werandzie. Gdy tam poszedł do kuchni, zapach rozgotowanych kartofli zemdlił go gwałtownie, szmer płomieni nie zatrzymał go. Cofnął się do siebie, ale opanowywał te strachy i słabości. Bolesław wiedział raz po raz uśmiech na jego ustach (to rzeczywiście był uśmiech, nie grymas), ale nagle uśmiech uciekał, a wyraz, jaki pozostawał na twarzy Stasia po jego zniknięciu, przypominał potworne pobojuwisko. Bolesław z niepokojem śledził te przemiany.

Przy obiedzie Staś siedział razem z nimi, ale Bolesław wiedział po jego twarzy, że mu już nie będzie lepiej. Przerażała go martwota zapadniętych oczu, które nie ożywiały się nawet, kiedy się śmiały. Obiad jedli na ganku. Staś siedział plecami do światła i Bolesław krótkimi, badawczymi spojrzzeniami obrzucał jego twarz osłoniętą cieniem. Odchodziła ona w cień nieokreślony, przestawała reprezentować człowieka, brat umierał. Czuli to wszyscy widać, bo i mała Ola wiedziała cichutką, rozszerzonymi białymi oczami spoglądając na stryja. Ale Staś nie zauważał tych spojrzeń, oglądał się na las przez ramię i wtedy w jego

niebieskich oczach zapalały się blaski, jak w dymnym odbiciu zakurzonych luster. Śmiał się i znowu opowiadał - nie wiadomo dlaczego - o miss Simons. Miał dziś list od niej, znowu była w Davos i opisywała wszystko, co się dzieje w sanatorium. Przypomniawszy sobie, jaką suknię kiedyś miała miss Simons, i szczegółowo opisywał ją Oli, która słuchała wpatrzona w stryja, z trudnością przełykając czerstwy chleb; Staś nic nie jadł, pił tylko mleko. Suknia była zielona, obszywana zielonym futrem. Do tego był krótki żakiet z zielonego aksamitu, cały naszywany w złote prążki. Niby jezioro w lesie.

Staś powiedział: niby jezioro w lesie - i spojrzał nagle na Bolesława, ale ten odwrócił głowę. To proste porównanie przypomniawszy im przykre sceny, a jednocześnie pokazało, iż sceny te stały się zupełnie beztreściwe wobec odmiany konstelacji.

Gdy Ola odeszła od stołu, Staś poprosił Bolesława, aby go pochowano w brzezynie, obok Basi. Wprawdzie to może nie tak zaraz nastąpi, dziś czuje się doskonale. Nie chce już

o tym mówić z bratem, bo to ma coś z pozy i z celebrowania, bardzo nieprzyjemne; zgrywanie się po prostu. Ale nie chce mu się potem tłuc dwadzieścia parę kilometrów, po co? Lepiej, że go tu zaraz zakopią.

- Czy nie będzie ci bardzo przykro mieć mnie w najbliższym sąsiedztwie? Bolesław milczał przez cały czas, ale po ostatnim pytaniu poczuł, że rzeczywiście będzie mu bardzo przykro. Nowa mogiła obok mogiły Basi będzie wielkim ciężarem dla niego. Wolałby Stasia zawieźć gdzieś daleko, a potem nie myśleć o tym, nie mieć ciągle przed oczami tych mogił. Ale przyszło mu do głowy, że potem łatwo mu będzie przenieść się na inną posesję, gdzieś pod Suchedniów, na przykład, albo do Szydłowa. Wtedy zostawi te mogiły tutaj, i trudno mu będzie już do nich powrócić, będzie przyjeżdżał raz na rok, raz na dwa lata. Tak, może Stasia pochować w brzezynie.

A tymczasem Staś siedział naprzeciwko niego przy stole

1 palił papierosa, dymek szary i wąty wylatywał niby oddech i roztopiał się w rozgrzanym powietrzu, na tle drzew stojących za drogą. Milczeli chwilę, potem Staś się uśmiechnął:

- No, i po mojej śmierci nie wzbraniaj sobie Maliny - powiedział.

Na to Bolesław stuknął pięścią w stół, pohamował się jednak, namarszczył groźnie, odwrócił się i począł pakować ręką brodę w usta, ale była krótka, świeżo przez Janka przy-strzyżona, i nie mógł jej ugryźć. To rozśmieszyło Stasia na dobre, ale nic już nie powiedział. Czuł, jak go południowe słońce grzeje w plecy i uczucie ciepła napełnia go rozkoszą.

Tego dnia jeszcze widział się z Maliną i następnego. W parę dni potem położył się na dobre.

Malwina nie przychodziła nigdy do pokoju, w którym leżał, nie wypadało. Z chwilą, w której położył się do łóżka, wszelka łączność pomiędzy nimi ustała. Nie było to zbyt

wielkim cierpieniem dla Stasia. Obecność realna Malwiny była mu niepotrzebna. Wyobrażał ją sobie tak dokładnie i całe dni spędzał na myśleniu o niej. Nawet nie było to myślenie, tylko porównywanie wszystkiego, co pamiętał, i wszystkiego, czego doznał od tej dziewczyny mocnej, cichej i oddanej. Wiedział, że kłamała, że Michał był naprawdę jej człowiekiem, że za niego wyjdzie za mąż i będzie żyła do późnej starości cicha i krzepka. Myślał o starości Malwiny, ordynarnej i zwyczajnej, nic już nie mającej pięknego. I mówił sobie
0 jej życiu: to jest dopiero życie.

Codziennie teraz leżał, słabszy, a coraz słabszy, w szmerze ulla wyobrazonego, w świetle odsłoniętych okien, i widział, że była pogoda, piękna lipcowa pogoda.

Opuszczono go teraz troszkę, Bolesław cały dzień był poza domem, Katarzyna zaglądała z rzadka, a Ola wolała bawić się na dworze, nudził ją uśmiech chorego wuja. Pewnego dnia pod koniec lipca - bardzo już był słaby i ku zachodowi dopiero chciał spojrzeć przez okna - uniósł się trochę, podłożył wyżej poduszki,

przy czym wiele się musiał natrudzić, i usiadłszy patrzył na złote ramy. Liście najbliższych drzew zwisały nad oknami, a dalej był zawsze ten sam widok; pnie, szarość, las. Nikogo nie było w całym domu ani na podwórzu, wszyscy się gdzieś porozchodzili i było cichutko. Ale Stasiowi nie ciążyła ta cisza letnia, pełna ciepła i błogosławieństwa. Za-myślony był, ale sam nie wiedział o czym, kości go nie bolały

1 stąd płynęła błogość, jednoczył się w uśpionej ciszy z letnim popołudniem. Potem posłyszał czyjeś kroki, ktoś przeszedł przez drogę i podszedł pod ganek. Kroki zbliżyły się i oddaliły, poznał te stapania, których oczekiwał tyle razy w ciągu tego lata: była to Malina. Serce mu zabiło miotem, w skroniach zahuczało i pot zimny okrył czoło, plecy, krzyż. Ale ona nie weszła do domu, cofnęła się i słyszał, jak kroki oddaliły się w pobok domu, odeszła w las.

Wówczas z lasu odezwał się wysoki głos. Malwina śpiewała. Po raz pierwszy słyszał ją śpiewającą, ale poznał zaraz, że to ona. Ciągnęła nuty wysokie, monotonne, z fioriturami. Śpiewała lepiej i piękniej, niż u nas na wsi śpiewają, ale nic nie straciła z prymitywności śpiewu. Wysokie pięć nut schodziło z góry na dół, wznosiło się potem znowu pięciu tonami i urywało w górze na wysokim tonie, powtarzanym z uporem, forsowanym pełną piersią. Echo się rozległo po lesie zaraz po pierwszej frazie, wmieszało się w ten śpiew i jakby towarzyszyło mu ukrytymi, zbiorowymi tonami, które przetwarzały się w akord.

Prymitywna namiętność tej pieśni dreszczem przejęła cho-rego. Przybyło mu sił w tym natężeniu, z jakim musiał słu-chać. Wiedział, że Malwina śpiewa dla niego i że to śpiewanie zastępuje wszystkie słowa, które mu miała powiedzieć. To było naprawdę to, co mu chciała powiedzieć, nie tamte mo-notonne odpowiedzi na bezsensowne pytania.

- A pierwsze zamknięcie To moje spojrzenie,
Że ja ciebie nie chcę znać -

Te słowa rozeznał w gąszczu wysokich i ciągnionych nut. Usta mu się otworzyły, słuchał i widział jednocześnie tyle rzeczy. Dzieciństwo mu się przypomniało i matka, widział szeroką srebrną rzekę, po której płynęli. A potem wszystko zrobiło się jak sen. Całował matkę, choć wiedział, że dawno umarła, i z pieśczołą w swojej ręce wyczuwał jej palce. Grube i łagodne. Srebro rzeki zmieszało się ze światłem, które szło z dwóch okien naprzeciwko jego łóżka stojących, zmieszało się ze śpiewem niewidzialnej kochanki.

Malwina powtórzyła pierwszą strofkę dwa razy, urwała gwałtownie i potem długo milczała. Staś myślał, że już nie będzie śpiewać. Pochylił się na poduszkach nieco na bok i widział cały świat, jak mu odpływał bokiem, mimo jego oczu, ukośnie, splątany z szarzyzny, chłodu i zieleni. Na próżno szukał oczu matki, wszędzie widział jak wtedy, kiedy

pierwszy raz szedł do szkoły - oczy pod powiekami podobnymi do liści, oczy przysłonięte do połowy. Nie, matka nie miała takich oczu, to były źrenice osowiałe - Malwiny.

Ale nagle pasmo przywidzeń rozdarło się, znowu zaczęła się prostacka pieśń; Malwina podeszła gdzieś bliżej, była zupełnie niedaleko, i nuty, i słowa jej pieśni były prawie do-tykalne, cieleśnie wchodziły do pokoju Stasia, tylko nie miał sił, aby je ująć w ręce.

- A drugie zamienienie

To wysokie sienie,

Po których muszę stąpać -

Każdą strofę powtarzała dwukrotnie bez zatrzymania, modulując lekko w wyższą tonację, ale ku końcowi powracała do upartej, wysokiej nuty.

Słońce zachodzące przenikało w las, przemykając się pomiędzy pniami sosen i nawą boru, podbijając ją różowymi mgłami. Staś ujrzał się w lesie wysokim jak w bajce i wiedział, że go mają sądzić. Było tak trochę jak w powstaniu, do którego należał jego dziad, trochę jak we śnie. Różowe obłoki napełniały las i zamieniały

się w ptaki, ptaki śpiewały głosem Maliny: „to wysokie sienie, to wysokie sienie”
- i Staś wi-
dział, jak las przemienia się w niebotyczne drewniane kon-
strukcje, po których on skacze z lekkością wiewiórki, a Ma-
lina idzie, malutka, malutka, jak w górach, samym dołem drewnianej katedry i nie można ich połączyć.

Nagle zza boru ukazała się srebrna rzeka, poczuł niezwykłą ulgę, lekko ślizgał się po stalowej przestrzeni, szklane tafle wody usuwały mu się spod rąk.

Malina umilkła. Uczuł znowu pokój, pusty kąt po forte-
pianie, który mu ciążył jak sieroctwo, i w ustach smak słony, słodki, zapach mdlący, uderzający o podniebienie. Pomyślał: znowu będzie krwotok.

Usłyszał kroki tuż pode drzwiami, słyszał, jak ktoś się oparł o lipkę rosnącą pod oknem. Czuł, że nie zniesie tego

śpiewu tak ostrego, tak konkretnego tuż pod swoim oknem. Oburącz przycisnął serce, które tłu-
kło się, i zawołał:

- Malino, Malino...

Ale to nie było wołanie, szept tylko żaloszny i spieczony. Nie słyszała tego głosu Malwina i mogła myśleć, że pan Sta-
niśław weale jej śpiewania nie słyszy. Ale widać myślała, że jej . słu-
cha, bo głos swój pomiarkowała i nie śpiewała tak głośno. Śpiew jej jednak przez to stał się jeszcze bardziej przejm-
jący, niby żaloszna kołysanka.

Przy pierwszej nucie tego śpiewu Staś znowu wypłynął na rzekę, biegnącą zakrętem. Ale w miarę jak śpiewała, brzegi zwężyły się, zachodziły jeden na drugi, chciały go udusić. Z trudnością chwycił powietrze:

- A trzecie zamknięcie

To siwe kamienie,

Pod którymi muszę spać -

Ale nim dośpiewała dwa razy to samo, coraz ciszej i głębiej piersiami robiąc, wszystkie przywidzenia odeszły. Najdłużej pozostawało poczucie obecności matki, ale i to przeszło. Obudził się oparty o poduszki ze smakiem krwi na

wargach, i oczami utkwionymi w karminowe przestrzenie między pniami. Do głębi przeniknęły go słowa: „to siwe kamienie, pod którymi muszę spać”. I pierwszy raz uczuł całym jęstrzem śmierć w sobie. Było tak, jakby wszystko, czym był, zebrało się naokoło niego w postaci czerwonej mokrej mgły i odchodziło powoli, i zostawała straszna nicość:

- i siwe kamienie,

Pod którymi muszę spać.

Ostatkiem sił przywołał to odchodzące życie i wróciło tym razem. Ale wiedział, że to nie na długo, uspokoił się trochę, słyszał, jak kroki odeszły. I nie zobaczył Maliny. A potem, powtarzając słowa o kamieniach, rozżalił się po dziecinemu, wyobrażając sobie, jak gdyby musiał rzeczywiście przez długie, długie lata spać w ciemnej sieni, pod szarymi kamieniami. I zaczął płakać jak dziecko, poduszka była mokra od łez.

A gdy Bolesław wrócił wieczorem, po raz pierwszy powiedział mu, że nie chce umierać tak młodo. Bolesław przestraszył się, ale potem się przyzwyczaił. Staś powtarzał te słowa do samego końca.

XII

Po śmierci Stasia Bolesław spostrzegł, że to dopiero rozwiązało mu życie. Razem z nieobecnością brata zjawiał się pogodny spokój, pogodzenie się ze wszystkim, co go spotykało, którego przedtem nie miał. Wszystkie zaczęcia i zamknięcia przerwały się i było mu przede wszystkim bardzo lekko, łatwo pracował, z niedużą trudnością napisał list do zarządu z prośbą o przeniesienie do innego lasu; wiedział zresztą, że był ceniony i że nie przeniosą go na gorsze. Jesienne dni były pogodne, słońce świeciło uparcie, liście były żółte i od samego tego koloru robiło się ciepło i spokojnie. Jeziorko, czarne w lecie, teraz zmieniło kolor i stało się przyjemne, pełniejsze wdzięku, odkąd zaczęło odbijać jasne drzewa, które umierały, ale miały się odrodzić. Teraz Bolesław spotykał się z Malwiną nad jeziorkiem i spotkania te nie miały w sobie nic

namiętnego, z każdym dniem jednak przywiązywały Bolesława bardziej do życia. Nie znaczy to, aby wysłuchał z rozpaczą wiadomości, którą mu zakomunikowała właśnie nad jeziorkiem, że Michał chce się z nią żenić w październiku. Powiedział: - To dobrze - i zagryzł brodę, która mu znowu urosła. Powiedział:

- To dobrze, ja i tak wyjeżdżam na nową posadę, mam ją mieć od pierwszego listopada albo od Bożego Narodzenia, a wy się przedtem tutaj pobierzecie, zostawię cię już mężatką. Czy pójdziesz do Michała, czy tu będziecie mieszkać? Ale nie wiedziała, gdzie będzie mieszkać, w każdym razie w lesie, to pewne. Ale czy tu, czy tam, to jej wszystko jedno. A potem jeszcze dorzuciła: - Szkoda, że pan pojedzie, smutno będzie bez pana, bez Oli. Pan Stanisław tylko tu zostanie. Staś rzeczywiście był pochowany w brzezynie, tak jak prosił, choć niemało było z tym trudności. Tym razem pretekstu roztopów nie było wcale, umarł w letni, pogodny dzień, po deszczu, kiedy droga do miasteczka była wygodniejsza niż kiedykolwiek bądź. Ale Bolesław z uporem postawił na swoim. Na pogrzebie zresztą nikogo z obcych prócz księdza nie było i wszystko odbyło się z niezwykłą szybkością i prostotą. Janek i Michał wzięli trumnę, przenieśli ją na noszach parę kroków, ksiądz pokropił, poświęcił ziemię przy mogile Basi, zakopali to, żwawo zasypali i nazajutrz rankiem z chłopakami, Olkiem i Edkiem, zrobili brzozowe sztachetki i krzyż brzozowy, gruby i niewysoki. Nikt nie zapłakał na tym pogrzebie, nawet Ola, i zaraz wszyscy wrócili do swoich zajęć, bo lato było w pełni i trzeba było doglądać roboty. Ksiądz miał żniwa na swoim kawałku, Bolesław przystępował do jesiennych wyrębów. Malina prała dla matki, dla Janka i dla Michała. Tylko Ola nie miała nic do roboty i siedziała sama jedna w pustym pokoju, z którego wyniesiono wuja i którego jeszcze nie sprzątnięto. Pokoik wydawał się teraz nawet duży, gdy w nim nie było ani fortepianu, ani wujowego ciała, i Oli zrobiło się trochę nieprzyjemnie. Dla dodania sobie odwagi zaczęła rozmawiać ze swoją lalką. Tak zastał ją Bolesław po powrocie do domu:

uparła się przy tym, że będzie mieszkała sama w pokoju wujaszka, i rzeczywiście, nazajutrz Bolesław kazał wmyć podłogę ługiem, wybielić na nowo ściany pokoju i na miejscu gdzie stał fortepian, postawić łóżko córeczki. Nowe, dość intensywne, choć ciche życie poczęło rozwijać się w pokoju umarłego.

Bolesław z nad jeziora nie poszedł do domu po tym, co mu powiedziała Malina, że już w październiku ma być wesele z Michałem. Chciał skorzystać z pięknego wieczora, przejść

się po lesie, zajrzeć tu i ówdzie, a właściwie chciał posłuchać, jak myśli i obrazy przesuwają się przez jego wnętrze, zostawiając lekki zapach odurzenia.

Rzeczywiście, był jak gdyby odurzony. Miłość przyszła niespodziewanie i na krótko odwróciła jego życie wewnętrzne, stał się spokojnie wesołym. A przecież początek wszystkiego był okropny.

Staś umarł po południu, zakrzętnięto się zaraz koło ubrania i umycia trupa, przyszły stare baby, matka Janka, Katarzyna, Maryjka. Choć na dworze było jasno, zapalono świece, zakryto potem okna chustkami. Staś ubrany był w dwie ciasne piżamy, niebieską i zieloną, włożone jedna na drugą, trudno go było rozebrać. Jednak baby zwlokły to z trupa i położyły go nagiego na kołdrze.

Bolesław był cały czas w pokoju, stał w kącie i patrzył ponuro na te przygotowania. Przeżuwał w sobie słowa, które chciał powiedzieć komuś, ale nie było komu; zresztą nie wiedział nawet, co ma powiedzieć, co chce powiedzieć; na rzeczy, o których myślał, chyba nie było słów. W każdym razie wszystko, co przechodziło przez jego mózg, było złe, twarde, gorzkie i zbuntowane. Miał „tego” dosyć. Choć nie wiedział, co się pod słowem „to” kryje.

Staś leżał na łóżku i jego niezwykle wychudzenie wzbudzało litość: skóra biała i zbita w chropawę gruzełki obciągała dokładnie i mocno wąskie piersi, ręce leżały bezwładnie i wygodnie, dłonie ich były o tyle ciemniejsze od dała. Na pierśsiach dwie brodawki stały się prawie zupełnie czarne, śdągnięte przez

chłód wieczoru i chłód śmierd. Twarz miał po-krytą chustką, inna chustka, babska czerwona chustka, pod- wiązywała opadającą szczękę. Ale nie trzeba było wyrazu twarzy: ciało opuszczone, chude, bezwładne i suche, jak pęk trzasek, miało tego wyrazu aż za dużo. Baby przyniosły miskę ciepłej wody i powoli, obrzędowo zanurzyły w niej gąbkę, mruczając modlitwy, potem naderwały żalosne piersi umarłego.

Wtedy weszła Malina. Bolesław natężył się i postąpił krok naprzód. Malina stanęła w stopach łóżka i chciała długo patrzeć na bezwstydną nagość rozciągniętego przed nią trupa. Ale baby jej nie dały.

- Przynieś jeszcze wody i octu - powiedziała jej matka.

Malina nie chciała się ruszyć. Patrzyła chciwie na Stasia, potem podeszła i zdjęła chustkę z twarzy, krzyknęła cicho, zawyła raczej, ale bardzo cicho. Potem odstąpiła krok w tył i chciała gąbką myć razem z innymi. Bolesław zrobił drugi krok i powiedział wyraźnie:

- Co Malina tu robi?

Malina obróciła się i spojrzała na niego. Oczy miała ma-towe i bez źrenic, białe prawie; spojrzała jak ślepa, na dużych, dokładnych jej rysach leżała prawie taka sama martwota, jak na skurczonej twarzy Stasia. Spojrzała i odwróciła się, piersi jej, opięte ciasnym stanikiem, zatrzęśły się lekko. Była tęga i mocna, bez wyrazu, obojętna.

- Niech Malina wyjdzie stąd.

Nie odpowiedziała. Podniosła wiadro z wodą i postawiła je bliżej głowy Stasia. Zanurzyła w wiadrze długi, biały ręcznik.

- Niech Malina wyjdzie stąd zaraz - powtórzył Bolesław głosem ścisłym i jak gdyby z rozpaczą.

Ale ona w dalszym ciągu obojętna przeciągała ręcznik w ręku, jakby lała go przez palce, potem wyjęła płótno, rozprostowała i przykryła ręcznikiem piersi Stasia.

Czarne brodawki ukryły się pod bielą.

- Won! - wrzasnął Bolesław nagle i, szarpnąwszy za ramię Malwinę, popchnął ją mocno w stronę drzwi. Dziewczyna stanęła, spojrzała raz jeszcze na niego. Potem otworzyła drzwi, wyszła, zamknęła. Przez cały ten czas zdawało się, że straszne słowo „won” drży i rozpiera się w pokoju. Bolesław opamiętał się zaraz i wyskoczył w ślad za Malwiną. Zdziwił się na dworze, że się już tak ściemniło. Nie wiedział, w którą stronę poszła, zawołał więc parę razy niegłośnie:

- Malwina, Malwina. - Zbiegł z ganku, poszedł szybko w stronę podwórza i natknął się prawie na dziewczynę. Stała obojętna pod drzewem, wsparta o biały pień.

Bolesław mówił szybko: - Przepraszam cię, ja nie wiem sam, co robię, widzisz, ja nie chciałem, Staś umarł; pan Stanisław umarł, to mój ostatni brat, pochowamy go koło mojej żony...

Malwina stała duża, rosła, obojętna i nie mówiła ani słowa... Czuł, że nawet nie patrzyła na niego. Dotknął jej rękami: była ciepła, ciało miała gorące. Pomyślał o zimnym ciele Stasia,

o chudej klatce piersiowej, leżącej bezwładnie na kołdrze. Ścisnął Malwinę za ramiona i nagle, ukrywszy twarz na jej wyniosłym, gorącym łonie, wybuchnął wielkim płaczem. Poczul jej ręce na głowie, przycisnęła go do siebie. Ale jego płacz nie trwał długo, porwał się nagle Bolesław i prędko powrócił do domu, gdzie baby już skończyły myć Stasia

1 przebierały go w odświętne, „europejskie” ubranie.

Teraz, gdy tak szedł brzegiem lasu, Bolesław nawet o tej scenie nie pamiętał, chociaż długo widział ją dokładnie i często wracała mu nieproszona, narzucając się, przed oczy; myślał tylko o nowej posadzie, o porębach jesiennych,

o przenosinach, o tym, że Olą trzeba się jakoś zająć. Sosny nie zmieniły się jesienią, więcej tylko latało cieniutkich płatków czerwonej kory, opadającej z góry pni. Spotkał Edka i Olka, krowy Maryjki zabłądziły w lesie i przyszły na

podwórze do leśniczówki, trzeba je było odprowadzać. Rude krowy przekradały się przez żółte porośla leszczyny, chłopcy szli za nimi, pokrzykując raz po raz i klaskając krótko sznurkowym biczkiem. Szedł jakiś czas ich śladem, potem się za-trzymał na ulubionym miejscu. We mgłach i żółciinie tonęła chata Maryjki, nie widać było zupełnie, że to tylko polana. Czuł się tak, jak gdyby wyszedł na szerokie i wolne pola. Patrzył, jak piaszczystą ścieżką szły duże krowy, potem chłopcy. Sylwety ich zacierały się, wczesny jesienny wieczór nad-chodził. Spokój, spokój, prawie szczęście.